№ 19. Warszawa, dnia 11 Maja (29 Kwietnia) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DWA ŚWIĘTA.

I ci, którzy z Francyi drwią, i ci, którzy jej nienawidzą, i ci, którzy do niej hypnotycznie ciążą — zarówno przyznać muszą, że podjęła ona przedsięwzięcie nadzwyczaj śmiałe, niemal zuchwale junackie. Gdyby wystawa powszechna dała się urządzić w ciągu paru tygodni lub nawet miesięcy, i wtedy jeszcze przy obecnych warunkach politycznych Europy, po nad którą ustawicznie przeciągają chmury brzemienne gromami, byłaby krokiem ryzykownym. Cóż dopiero mówić o pracach i przygotowaniach długich, kosztownych, wymagających rękojmi stałego pokoju! Kto przed rokiem mógł upewnić, że dziś Europy nie ogarną płomienie wojny? Kto, nawet z tych, co rozporządzają losami świata, mógł dać francuzom najsłabszą nadzieję, że w ich wystawę nie zaczną bić pioruny i nie zamieni jej w gruzy wstrząśnienie? Przeciwnie, wszyscy trwożyli ją groźnemi przepowiedniami. Ministrowie, tłomacząc swym narodom odmowę rządów w przyjęciu udziału, obok powodów, spoczywających w obchodzie historycznym, związanym z wystawą, akcentowali wyraźnie niepewność położenia i przedstawiali cały pomysł jako szaleństwo. Wy zawieziecie do Paryża najpiękniejsze owoce prac waszych — zdawali się mówić — poniesiecie ofiary, a tymczasem po tem wszystkiem przejść może uragan wojny i unieść z sobą jak garść liści i kurzu. Gdyby na stokach Wezuwiusza, zdradzającego skłonność do wybuchu, ktoś zechciał zbudować kryształowy zamek, nie uważanoby tego za większe waryactwo od zamiaru urządzenia wystawy powszechnej w r. 1889, kiedy zewsząd krzyczano i szeptano: stoimy na wulkanie!

Francuzi jednak nie ulękli się i myśl swą urzeczywistnili. Uderza ona nietylko swem zuchwalstwem, ale i wspaniałością. Na ponurem tle militaryzmu, śród olbrzymiego obozowiska, szczęku oręża, ciągłych przygotowań bojowych, niezmordowanych wysiłków w kierunku wynajdywania coraz bardziej morderczych broni — pięknie odbija się ta uroczystość pracy i pokoju, ten popis geniuszu ludzkiego, ta wystawa jego najlepszych tworów. Zapewne, nie odwróci ona potoku wypadków w inną stronę, nie otworzy nowej epoki, ale silnie oddziała przeciwko fanatyzmowi militarnemu, przeciwko zdziczeniu umysłów, przeciwko temu ogładzonemu barbarzyństwu, które po za środkami siły fizycznej i przewagą w rozboju nic nie widzi. Dziś, kiedy potęgą zwie się tylko posiadanie pewnej ilości żołnierzy i pewnego systemu karabinów, niezmiernie dobroczynną lekcyę poglądową stanowi taka wystawa przemysłu, sztuki i nauki, pokazująca, w czem właściwie spoczywa potęga narodów. Za tę lekcyę Europa powinna być Francyi wdzięczną.

Dnia 5 maja upłynęło lat 100 od chwili, kiedy „Stany generalne" zebrały się w Wersalu, ażeby rozpocząć mocą nowego, „trzeciego" pierwiastku, który wszedł do nich, olbrzymi przewrot i olbrzymi dramat, kąpiący wielkie bohaterstwa w wielkich zbrodniach, chrzczący wzniosłe ideje krwią strasznych okrucieństw — dramat Rewolucyi francuskiej. Gdyby szło jedynie o wspomnienia przywiązane do tego dnia lub tego miesiąca, przedstawiciele mocarstw przy trzeciej Rzeczypospolitej francuskiej nie czuliby wstrętu do tej uroczystości i nie uciekaliby od niej. Maj 1789 r. nie urodził bowiem tych upiorów, które przerażają dziś jeszcze wyznawców prawowitości. Francya wszakże, jak Matejko w swym *Sejmie*, streszcza i zwiera w swym obchodzie cały przebieg Rewolucyi aż do późniejszych i ostatnich fal ruchu, czci nie daty, ale ideje. Już nie legitymiści, ale czytelnicy słynnego dzieła Taine'a, mogą się dziwić temu urzędowemu sławieniu ludzi, czynów i zdarzeń, od których padło tyle plam krwawych na oblicze konającego wieku XVIII. Jakto, czyżby trzecia Rzeczpospolita, która bądź co bądź jest wcieleniem sprawiedliwości, humanizmu i cywilizacyi uznawała te wszystkie, często potworne okropności, których dopuściły się rozszalałe żywioły rewolucyi? Zdziwienie to — jeżeli kogoś ogarnia — płynie z nieporozumienia. Francya nie święci gilotyny, gwałtów, rozpasania, wścieklizny, ale zasady, które wyszły z tego strasznego odmętu i dotąd królują w jej życiu; ona nie kanonizuje rzeźników, ale apostołów i bohaterów, nadewszystko zaś te szlachetne uczucia i myśli, które ich ożywiały. Zresztą, rewolucya, o ile była potworem, pożarła sama siebie, ci, którzy przelali niewinnie krew cudzą, zmyli plamy rąk swoich krwią własną, po zakończeniu mordów nie pozostał żaden Kain, wszyscy zginęli, jak gdyby stare społeczeństwo wyrznęło się wzajemnie, ustąpiwszy miejsca nowemu.

Ale tu nastręcza się inna uwaga. Ostateczne setna rocznica wybuchu rewolucyi jest setną rocznicą urodzin jej dziecka — mieszczaństwa, stanu trzeciego. Otóż dziwną rzeczy koleją obchód tych urodzin odbywa się w czasie, kiedy nowy element, stan czwarty głosi śmierć owemu stuletniemu bohaterowi i zwycięzcy. I znowu kolebka spotyka się z trumną, znowu Europa stoi na linii przełomu, znowu na tym samym Zachodzie, w tej samej Francyi, w której przed stu laty dawny ustrój spłonął a z jego popiołów wyszedł Feniks mieszczański, dostrzegamy języki ogniste przewijające się po ścianach i wiązaniach starego gmachu. Widok ten odejmuje święconym obecnie wspomnieniom znaczną część uroku, przynajmniej w oczach tej zbuntowanej masy, dla której spadkobiercy bankructwa *de*

l'ancien regime nie są już bohaterami, ani przewodnikami i która radaby każdej chwili ogłosić ich upadłość i zlikwidować ich prawa. Według niej arcykapłani rządu francuskiego odprawili w Wersalu nabożeństwo polityczne nie przed ołtarzem rewolucyi, ale przed bożyszczami kultu, który ją zdusił, przed patronami starego porządku rzeczy — *de l'ancien regime.*

Bądź co bądź wiele nam daje do myślenia rozpamiętywanie tego procesu, który się dokonał w ciągu ostatnich lat stu. Jeżeli mamy wnioskować z podobieństw, Francya po raz drugi wspomnień 1789 r. święcić nie będzie. Pozyska nowe, które już się snuć poczęły.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Otwarcie wystawy powszechnej w Paryżu odbyło się uroczyście 7 maja. Sprawozdawcy, gdy się w niej rozpatrzą, opowiedzą nam, czem się różni od swych poprzedniczek i co zawiera cennego. My tu nadmienimy tylko, że — według ogólnych zapewnień — turniej ten, zmierzony przeszkodami, jakie musiał pokonywać, wypadł wspaniale, zwłaszcza jako popis techniki.

Do powracającego z wystawy Carnota jakiś człowiek strzelił „dla zwrócenia na siebie uwagi.“ Jest to od niedawna dość często używany środek „zwracania uwagi,“ o tyle w ostatnim wypadku grzeczniejszy, że zastosowano go bez kuli — ślepym nabojem. Maluczko a ktoś pragnący zapalić cygaro u śpieszącego się przechodnia zatrzyma go wystrzałem z rewolweru i poprosi o ogień. Dlaczegoby nie! Czemużby miał obrażać się zwykły śmiertelnik o to, co nie ubliża prezydentowi Rzeczypospolitej francuskiej!

Członkowie kongresów katolickich tak puścili folgę swym gustom, że aż wzbudzili niesmak we współwiernych rządach, a nawet w własnym obozie. Jak się rozhulały te pobożne dusze, przekonywa skromne życzenie jegomościów hiszpańskich, ażeby zamknięto wszystkie kościoły protestanckie. A już czego nie pragnęli apostołowie obradujący w Wiedniu nad zbawieniem świata, to trudno wyliczyć. Chcieliby szkoły wziąć w wyłączną arendę, chcieliby z uniwersytetów wypędzić innowierców, chcieliby papieżowi wznieść najwyższy tron między monarchami świeckimi, chcieliby całą ziemię okryć sutanną a słońce— czapką księżą. I słusznie. Jeżeli gromadzie ludzkiej kazano iść wstecz — powiadają oni sobie — czemuż by ona nie miała dojść w tym powrocie do owej epoki, w której my byliśmy głównymi pasterzami tej trzody.

Naturalnie pan Wohlgemut, który przez swego agenta fabrykował w Szwajcaryi rewolucyonistów, ażeby ich potem zapędzać w swe potrzaski, wypuszczony z kozy i przybywszy do Berlina, obmył się przed niemi z wszelkich zarzutów i wygląda teraz jak śnieżysto-biały anioł-stróż cnót ludzkich. To też *Nordd. Allg. Ztng* zagroziła szwajcarom, że gdyby jeszcze kiedykolwiek dotknęli brutalnie skrzydeł jednego z takich aniołów pruskich, poczują na swych plecach żelazną rękę gniewu tych, których drażnić nie należy.

Podczas gdy Crispi przygotowywa podróż króla do Niemiec, jego przeciwnicy coraz głośniej pokrzykują: niech żyje Francya!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ZAWODOWE.

II.

Szkoła rzemiosł przy ul. Jasnej nr. 3 powstała, jak wiadomo, z inicyatywy prywatnej, przeważnie staraniem dr. Nathansona, który też i dotąd jest głównym jej opiekunem. Obejmuje ona trzy klasy, z których pierwsza i trzecia mają po dwa oddziały, tak, iż całkowity kurs trwa lat 5. Zakres wykładanych przedmiotów odpowiada programowi szkół miejskich rządowych. Młodszym uczniom udzielaną bywa oprócz tego nauka *slöjdu* (zajęć ręcznych), starsi zaś mogą, stosownie do własnego wyboru, kształcić się w ślusarstwie, stolarstwie lub szewctwie. Od nowowstępujących wymaganem jest przedstawienie metryki i świadectwa szczepionej ospy, a obok tego złożenie egzaminu do klasy 1-ej w zakresie takim, jak do tejże klasy szkół rządowych, do drugiej jak do odpowiedniej szkół realnych. Opłata roczna wynosi w oddziale młodszym dla klasy pierwszej rs. 30, w innych zaś dla ślusarzy rs. 50, dla stolarzy rs. 40, dla szewców rs. 25. Kandydaci muszą mieć nie mniej, niż 10 lat wieku.

Szkoła miejska imienia Konarskiego na Nowem Mieście nr. 4 składa się także z trzech klas z dwoma oddziałami w każdej; cały kurs nauki w tej szkole trwa więc lat 6, stosownie jednak do postępów w naukach termin ten może być przez radę pedagogiczną skrócony. Obecnie wprowadzoną została w czasie wolnym od lekcyj nauka *slöjdu*, stolarstwo i ślusarstwo. Nauką *slöjdu* kieruje przełożony Szkoły rzemiosł przy ul. Jasnej, zaszczytnie znany z prac nad tym przedmiotem, p. Jerzy Kühn. Do pierwszego oddziału klasy pierwszej przyjmowane są dzieci w wieku lat 9 do 13, umiejące czytać po rusku, opowiedzieć przeczytane, pisać bez błędów fonetycznych, pamiętające ważniejsze modlitwy i obznajmione z czterema działaniami w obrębie pierwszego tysiąca. Do klas wyższych przyjmowani bywają kandydaci w odpowiednim wieku, którzy złożą egzamin w zakresie kursu klas poprzednich. Podania należy wnosić przed dniem 13 sierpnia każdego roku z załączeniem zwykle wymaganych dokumentów na imię inspektora szkoły. Opłata roczna wynosi rs. 10, w ratach półrocznych z góry. Najwyżej 20% ogólnej liczby uczniów może być zupełnie zwolnionych od niej, jeśli przedstawią świadectwo o niezamożności i okażą dobre postępy w naukach i sprawowaniu. Kończący szkołę otrzymują przy odbywaniu powinności wojskowej prawa trzeciego rzędu.

Wyższa szkoła rzemieślnicza w Łodzi dzieli się na dwa oddziały; trzy niższe klasy możnaby nazwać przygotowawczemi, w trzech wyższych uczniom udzielane są wiadomości, niezbędne do skutecznego wykonywania pracy rzemieślniczej i przemysłowej, najwięcej odpowiadającej miejscowym warunkom, a więc tkactwo, przędzalnictwo i farbiarstwo. Nauki wykładane są w języku ruskim, oprócz którego szczególną wagę położono na niemiecki; inne języki wcale nie zostały uwzględnione. Do szkoły przyjmują dzieci wszystkich stanów i wyznań. Rok szkolny rozpoczyna się 15 sierpnia, a kończy 30 czerwca. Połowę letnich wakacyj uczniowie 3 klas specyalnych muszą przepędzać w fabrykach, gdzie obznajamiają się praktycznie z tkactwem, prze-

3)

HOMUNKULUS.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hamerlinga.

PIEŚŃ ÓSMA.

W nowym Izraelu.

Muzo, ty, co tańczysz polkę
W zręcznem „pas“ trocheów czterech
Przed oczyma przesyconej
Publiczności, wedle taktu
Mej fujarki, którą sobie
Tam, w Parnaskim oczerecie,
Sam wybrałem, sam wyciąłem, —
Niechaj Bóg ci moc zachowa!
Opowiedzieć masz ostatnie,
A najwyższe, najwznioślejsze,
Najważniejsze losy mego
Bohatera Homunkula.
Biedny Munkel! Tyle cierpień
Przeszedł dotąd w swojem życiu, —
Wiele zyskał, wiele stracił,
Zbierał żniwo niewdzięczności
I haniebnej zdrady doznał,
Związał los z nadludzko-piękną
I z nadludzko-mądrą nimfą,
Aby stracić ją na zawsze
Przez gluptasa Lwa-Zająca.

Życzmy przeto nieszczęsnemu,
Aby wreszcie wymarzony,
Wyższy, trwały cel osiągnął,
Lub ażeby spokój znalazł.

Cel ów, który on tak goni,
Jest to Sława, Blask i Wielkość
Nadewszystko zaś — to Tryumf
Homunkula czci na ziemi.

Ach, już czuje się znużonym
Tem dążeniem, tem krążeniem
Do wszystkiego, co nadludzkie;
Prawie rzucił gwiazdę, która
Przy powstaniu mu świeciła.
Nagle, jeszcze raz, sposobność,
Przez zwrot wielki w życiu ludów,
Zachęcając, nań kiwnęła,
Aby śmiało w dal podążał.

W owym czasie się zdarzyło,
Że na nowo chrześcianom
Stał się wstrętnym nos żydowski,
Zakrzywiony nos żydowski,
I słyszałeś nagle znowu
O zniknionych dzieciach chrześcian,
Które żydzi niewątpliwie
Pochwycili i zarznęli
Dla tajemnych celów kultu.
Wraz, na dobrze znany foetor
Judaeorum nagle znowu
Wszyscy stali się wrażliwi
I nerwowi nadzwyczajnie.
I odkryto tuż z pewnością,
Że niezbity fetor żydów
Jest wypływem właśnie tego,
Co „korupcyą“ dziś się zowie.
Zapach ów jest starożytnym,
I pochodzi jeszcze z raju,
Dokąd wąż go przyniósł z sobą.

Dla pozbycia się zapachu
Żydom zewsząd chrześcianie
Chrzest gorąco zalecali.
Czem rozmyślniej chrześcianie,
Owi światli chrześcianie,
Chrześcianami być nie chcieli,
Tem usilniej wymagali,
Aby nimi byli żydzi.

Otóż znów, jak tylekroć już,
Hebreici swoje głowy
Widzą w nimbie zajmującym
Udręczonych, męczenników!..
I następne pokolenia
Czas spuścizną znowu darzy:
Zagadnieniem, które trzeba
Znów rozstrzygać, kajdanami,
Które trzeba znowu zrywać,

dzalnictwem i farbiarstwem pod kierunkiem nauczycieli tych przedmiotów. Kończący szkolę rzemieślniczą otrzymują przy odbywaniu powinności wojskowej prerogatywy, przysługujące kończącym gimnazya i szkoły realne, tj. zaliczają się do drugiego rzędu. Przy wstępowaniu do wyższych zakładów naukowych specyalnych muszą składać egzamin próbny na równi z kończącymi gimnazya i szkoły realne.

Oprócz przedmiotów ogólnie kształcących wykładane są w klasach specyalnych: buchalterya i korespondencya handlowa, sztuka przędzalnicza i tkactwo, technologia mechaniczna i chemiczna, nauka o machinach i chemia analityczna. Do klasy pierwszej przyjmowane są dzieci w wieku lat 10 do 12, umiejące nieźle czytać i pisać po rusku (bez znacznych błędów w wymawianiu i ortografii), z religii — ważniejsze modlitwy, z arytmetyki zaś — obznajomione z pierwszemi czterema działaniami nad liczbami oderwanemi i mianowanemi. Wstępujący do klas wyższych muszą mieć wiek odpowiedni i złożyć egzamin w zakresie programu klas poprzednich. Kandydaci pochodzący z gubernij południowo lub północno-zachodnich winni oprócz metryki, świadectwa o pochodzeniu i fotografii przedstawić jeszcze zezwolenie gubernatora miejscowego. Opłata szkolna wynosi rs. 20, które należy uiszczać półrocznie z góry. Uczniowie przyjezdni znajdują umieszczenie na wskazanych przez zwierzchność szkoły pensyach. Płaca za utrzymanie jednego ucznia od rs. 150 do 200 i więcej.

Mówiąc o szkołach zawodowych, nie możemy pominąć technicznych kolejowych, chociaż one są dostępne tylko wybranym. Tak naprzykład punkt czwarty warunków przyjęcia do szkoły technicznej dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej brzmi: „Do szkoły przyjmują się tylko synowie służby dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej, sieroty po nich lub synowie emerytów tychże dróg żelaznych; jednakże, w razie okazania się miejsc wolnych, mogą być przyjmowani: najpierw, synowie tych, którzy kiedyś służyli na powyższych drogach żelaznych, dalej służby innych dróg żelaznych, a nareszcie i osób obcych."

Ze względu na to, że może niektórzy z naszych czytelników są w szczęśliwem położeniu posiadania jednego z wymienionych w tym punkcie przywilejów, lub, nieposiadające ich, zechcą wypróbować swe szczęście i zapukają do wrót owej nieprzystępnej twierdzy, zapoznamy ich z jej organizacyą.

Szkoły techniczne kolejowe składają się z klas przygotowawczych i specyalnych; jak jednych, tak i drugich jest po trzy, lecz każda z klas przygotowawczych dzieli się jeszcze na dwa oddziały, tak iż kurs nauki w jednej klasie trwa dwa lata. Zresztą w szkole przygotowawczej, istniejącej przy Szkole technicznej kolei żelaznych Warszawsko - Wiedeńskiej i Bygoskiej, np. w klasie pierwszej niema niższego oddziału; nauka w klasach przygotowawczych trwa więc lat 5 tylko.

Kurs szkoły przygotowawczej odpowiada ściśle kursowi szkół miejskich według ustawy z d. 31 maja 1872 r. Wstępujący do którejkolwiek klasy powinni na egzaminie wstępnym wykazać wiadomości z kursu wszystkich poprzednich klas. Kandydaci do pierwszej oddziału niższego winni mieć nie mniej niż 9, nie więcej niż 11 lat, do innych klas i oddziałów muszą być odpowiednio starsi. Opłata za naukę wynosi rs. 10; pobiera się albo za cały rok z góry, lub też w ratach półrocznych. Zwolnienie się od tej opłaty połączone jest z wielkiemi trudnościami. Kurs klas specyalnych jest trzyletni, a oprócz tego wymaganą jest dwuletnia praktyka kolejowa. Zadaniem szkół technicznych kolejowych ma być wykształcenie techników dla służby kolejowej: maszynistów, pomocników maszynistów, majstrów drogowych itd.

Po przejściu kursu trzyletniego w szkole, uczniowie otrzymują odpowiednie świadectwa. Ci zaś, którzy następnie nie mniej niż dwa lata pozostaną na posadach technicznych w praktyce kolejowej i dostarczą świadectwa towarzystw kolejowych o swych zatrudnieniach, otrzymują ze szkoły dyplomy; nadają one przywilej pierwszeństwa w otrzymaniu posad drugorzędnych techników na kolejach żelaznych. Przy odbywaniu powinności wojskowej osoby, zaopatrzone w dyplomy szkół technicznych kolejowych, mają takież prawa, jak kończący zakłady naukowe trzeciego rzędu. Uczniowie szkół technicznych mogą w celu dokończenia swego teoretycznego i praktycznego wykształcenia w razie podania odpowiedniej prośby odwlec termin rozpoczęcia służby od 22 roku życia.

Nowowstępujący do klas specyalnych szkół technicznych mogą być przyjęci tylko do klasy pierwszej, muszą mieć wiek lat 14 do 17, być ruskimi poddanymi i posiadać świadectwa z ukończenia kursu szkoły dwuklasowej wiejskiej, powiatowej lub miejskiej, według ustawy 1872 roku, lub też dwuklasowej szkółki cerkiewno-parafialnej; poddawani oni są przytem egzaminowi próbnemu z języka ruskiego i matematyki w zakresie programu szkoły dwuklasowej wiejskiej.

Szkół technicznych kolejowych posiadamy w kraju trzy: szkoła dróg żelaznych Warszawsko - Wiedeńskiej i Bydgoskiej przy ul. Chmielnej, drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej na Pradze i drogi żelaznej Nadwiślańskiej w Lublinie. O istnieniu szkoły technicznej kolejowej przy drodze Iwangrodzko-Dąbrowskiej nic dotąd nie słyszeliśmy.

Dla ścisłości i uzupełnienia obrazu nadmienić musimy, iż w Warszawie istnieje kilka warsztatów naukowych, utworzonych w celu kształcenia młodzieży izraelickiej w rzemiosłach. Nauka odbywa się w nich bezpłatnie, a często jeszcze uczniowie otrzymują różne zapomogi. Zakłady te ograniczają się na zaznajomieniu wychowańców swych z rękoczynami rzemiosła; wykłady nie odbywają się przytem żadne.

Jak widzimy, sprawa szkół zawodowych przedstawia się u nas w bardzo smutnym stanie. Pomijając już to, że dotąd zaledwie kilka rzemiosł doczekało się szkolnego traktowania, zaznaczyć musimy, iż i te rzemiosła nie są tak traktowane, jakby należało. Główną przyczyną jest tu brak odpowiednio uzdolnionych nauczycieli. Obecnie nauczają rzemiosł przeważnie „wykwalifikowani" majstrowie. Nie potrzebuję tu chyba tłomaczyć, że choćby największa biegłość w swym fachu nie daje jeszcze rękojmi dobrego nauczania: Dobry nauczyciel musi posiadać umiejętność zastosowania się do poziomu umysłowego swych uczniów, sporą dozę spostrzegawczości, wreszcie rutynę nietylko w swym fachu, lecz także pedagogiczną. Tego wszystkiego nie zastąpią wskazówki kierownika szkoły, chociażby ten był jaknajlepszym pedagogiem, albowiem nie może on nieodłącznie towarzyszyć nauczycielowi i udzielać mu rad w każdym pojedynczym wypadku.

Oby przynajmniej obecnie istniejące szkoły rzemiosł przyczyniły się do wykształcenia uzdolnionych rzemieślników-nauczycieli!

Już po napisaniu niniejszego artykułu dochodzi nas wiadomość o zatwierdzeniu ustawy Szkoły sztygarów w Dąbrowie. Szczegółowego programu nie posiadamy, nie chcieliśmy jednak pominąć tak donio-

---

Sposobnością do zwycięztwa
W nowym ludzkich praw ucisku.
Wreszcie niechęć przeciw żydom
Tak urasta na Zachodzie,
Że wyrokiem uroczystym,
Parlamentu uchwałami,
Za helotów ich uznano, —
Chcąc ich tym sposobem zmusić,
By wrócili do krainy,
Z której ród ich się wywodzi,
Do dalekiej Palestyny.
Tajemniczej nić sympatyi
Z owym ludem uciśnionym
Homunkula dziwnie wiąże.
Zmysł żydowski, byt żydowski
I żydowskiej myśli bystrość,
Jak saletry kwas, gryząca,
Chytro-śmiała dzielność w czynie,
I niejedna jeszcze cecha
W charakterze izraelskim,
Stała — tak mu się zdawało —
Nader blizko jego bytu
I Homunkulizmu blizko.
Ej, a gdyby zrobić próbę,
Jeszcze jedną — z Izraelem?
Nadzwyczajnie wielkie dary
Tego ludu wybranego,
Zda się, Wielkość kryją w sobie,
Zda się, wiele obiecują
Dla tych wzniosłych, wyższych celów,
Które on zakreślił sobie.
I w marzeniach Homunkula
Nowe bóstwa się zrodziły —
Nowa Sława, Blask i Wielkość.
Zda mu się, że jest Mesyaszem,
Że ten naród rozproszony,
Pogardzany, uciskany,
Oto on na nowo łączy,
Nową daje mu potęgę!..
Przez te złote sny popchnięty,
Począł Munkel głosić żydom
Wybawienia posłannictwo:
Powrót do krainy wschodniej!
Tam Izrael ma założyć
Nowe państwo, powołane,
By świat cały w końcu objąć,
Zawojować go na nowo,
Poddać pod ojczyzny władzę.
„Dzieci Wschodu, posłuchajcie!"
Mówił słowy natchnionemi
Do nich—„na co zwlekać dłużej?
Toć spojrzenie jedno starczy,
Aby z waszych rysów odkryć,
Z zewnętrznego bytu, z chodu,
Z waszych kształtów i z obejścia,
Żeście wiecznie tu przeklęci,
Żeście obcy na Zachodzie!
Widząc was w zachodnich strojach,
Zda mi się, że widzę szereg
Karykatur, patryarchów
Biblii, w fraki przyodzianych;
I bezczelnie uciskane
W tych filcowych, sztywnych rurach
Ich czcigodne, wzniosłe głowy!
Wierzcie, szczepu semickiego
Krzywonosy młodzian, który
Tutaj w fraku europejskim,
W ciasnych spodniach na cieniutkich,
Niby pałasiki, nogach,
Tak niezgrabny jest i śmieszny, —
Jak bajeczny jaki książę,
Zajaśnieje w wschodnim stroju.
W wschodnim stroju— ach, wierzajcie—
Najparszywszy żyd na przekór
Wszem szydercom, wypięknieje:
W wschodnim stroju, tego świata
Twór najbrzydszy — mojem zdaniem —
Żydówka stara, godnie,
Jak matrona, błyszczeć będzie.
A największa piękność ziemi,
Zdaniem mem, żydówka młoda,
Cały świat ten oczaruje,
Niby nowa Kleopatra,
Jak Semiramis zwycięży!"
Te i tym podobne rzeczy
Zasłuchanym hebrajczykom
Munkel dobrze zważyć radzi;
Rozmyślili się i wreszcie
Pogodzili z ową myślą,
By masowo wywędrować
Do tych miejsc, gdzie w dawne czasy
Kwitło państwo ich potężne,
Do ojczyzny swojej boskiej:
Więcej, niźli Munkla słowa,
Nędzny los ich skłonił k' temu.
Bo z dniem każdym chrześcianie

słego faktu dla sprawy wykształcenia zawodowego u nas. Zaznaczymy więc tylko, że kurs szkoły ma być czteroletni; od wstępujących będzie wymaganą znajomość kursu szkół miejskich, wiek lat 15 do 20. Dwa wyższe kursa dzielą się na oddziały: górniczy i hutniczy; opłata od uczniów 20 rs. rocznie. Szczegóły inne podano w „Kronice“ *Prawdy*.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGICZNE POGLĄDY HERBERTA SPENCERA.

III.

W dwóch poprzednich artykułach wyłożyliśmy ogólnie socyologiczne poglądy Spencera, zbierając w jedną całość zarówno twierdzenia szczegółowo uzasadnione przezeń w *Socyologii*, jako też uwagi, rozproszone w innych częściach filozofii syntetycznej; przytem staraliśmy się to zrobić w takiem powiązaniu, w jakiem on sam wysnuwa swe zapatrywania. Otóż prosimy czytelników jeszcze raz uprzytomnić sobie w umyśle bieg rozumowań Spencerowskich, a z łatwością zauważą oni, że mamy tu sprawę z przechodzeniem od twierdzeń ogólniejszych do coraz szczegółowszych drogą wnioskowania dedukcyjnego. Bierze się społeczeństwo jako cząstkę kosmosu i na tej podstawie wyprowadza się dla niego, z ogólnego prawa ewolucyi, twierdzenia w pojęciach materyi i ruchu; następnie dowodzi się, iż ono jest szczególnego rodzaju organizmem, i znowu gotową jest dalsza osnowa dla rozpatrzenia poszczególnych dziedzin rozwoju społecznego. Cóż stąd wynika? Przypuśćmy, iż trzeba wyjaśnić czynniki ewolucyi społecznej. W tym celu wypada zbadać fakty z całego przebiegu dziejów, postawić je w wzajemnym związku rodowodowym, wyprowadzić na tej podstawie stosowne uogólnienia — taką jest droga, którą kroczy t. zw. szkoła historyczna w socyologii (Maine, Morgan itd). Zdobyte w taki sposób wyniki możnaby w dalszym ciągu wyrazić w pojęciach ruchu i materyi. Socyolog angielski postępuje wręcz przeciwnie. Już na początku poszukiwań socyologicznych wie on, że społeczeństwo jest organizmem, i oto dziedzina badań z góry zostaje ścieśniona, gdyż bierze on żywcem uogólnienia biologii co do rozwoju form organicznych i obstawia je tylko faktami społecznymi. Dzięki temu rozwój społeczny został umieszczony na Prokrustowem łożu pojmowania apriorystycznego. Słowem, socyologia Spencera opiera się nie na wnioskowaniu indukcyjnem, które uwzględnia najmniejsze szczegóły faktyczne, lecz na postępowaniu odwrotnem, zużytkującym tylko fakty przydatne. A ponieważ w ewolucyi społecznej odgrywają znaczną rolę czynniki odmienne od działających w rozwoju organicznym, np. ekonomiczne, zostają one bez należytego uwzględnienia, jako nie przystające do stanowiska apriorystycznego. W rezultacie, zamiast istotnego przebiegu rozwojowego, mamy jakiś inny, mianowicie ukształtowany według z góry powziętych uprzedzeń. Ażeby nas nie posądzono o gołosłowność, rozpatrzymy jeden przykład — klasyfikacyę ustrojów społecznych. Otóż badania, prowadzone drogą indukcyjną, wykazały w dotychczasowych dziejach rodu ludzkiego dwie wielkie formacye społeczne: osobową i terytoryalną. Zbierzmy np. z całego społeczeństwa wszystkich Pawłowskich w jedno zwarte grono, Jankowskich w drugie itd. Podobnie w armii miejmy oddzielne szwadrony Pawłowskich, Jankowskich itd.; chowajmy każdych z osobna na odrębnym cmentarzu rodowym. Rozciągnijmy tę zasadę na wszystkie stosunki a otrzymamy ogólne przedstawienie o społeczności osobowej w odróżnieniu od cywilizacyi nowoczesnej, gdzie rządy są uskuteczniane za pośrednictwem ogniw terytoryalnych — gminy, powiatu itd. Każdy z tych dwóch typów przebiega liczne a różne szczeble rozwoju. Jako osobowości są one zależne od form obcowania małżeńskiego i mają na celu tylko regulowanie reprodukcyi gatunku ludzkiego. Lecz z czasem potężnieje produkcya dóbr materyalnych, wywołuje rozkład spoideł staroczesnych i sprowadza ukazanie się nowych, terytoryalnych, które przekształcają się odpowiednio do rozwoju metod produkowania. Nadaremniejednakże poszukiwalibyśmy jakiejś wzmianki o tym przebiegu w całej socyologii Spencera. Przeciwnie, przystępuje on do przedmiotu z powziętym z góry poglądem, że ewolucya społeczna — to rozwój szczegółowo organizmu, rozwój zaś społeczeństwa — to rozmaitej doskonałości organizmy. Cóż wobec tego pozostaje do zrobienia? Oto przedewszystkiem rozpatrzeć różne postacie jestestw żyjących. Jedne z pośród nich są tylko luźnemi skupieniami komórek, jak to widzimy na najniższych, drobnowidzowych szczeblach, mogącemi rozpaść się w każdej chwili. Inne znowu są skupieniami słabo spojonemi bardzo zwartych skupień niższego rzędu, np. soliter w przeciwieństwie do swoich ogniw. Jeszcze inne są już bardzo spójnem połączeniem podobnych niższych skupień — itd. Z drugiej strony, wśród tych skupień mamy do czynienia z jednemi — drapieżnemi, drugiemi — pokojowemi. W zastosowaniu do socyologii pozostaje ułożyć podobny a równoległy szereg dla „organizmów społecznych.“ Jacyś buszmani odpowiedzą wtedy owym najniższym a luźnym skupieniom chwilowym jestestw jednokomórkowych; niektórzy czerwonoskórzy— soliterowym, i sprawa z klasyfikacyą ustrojów społecznych zostaje ukończoną... Taką apriorystyczność spotykamy w socyologii Spencerowskiej na każdym kroku. Ta wada dochodzi nawet do tego, iż znając zasadnicze jego założenia oraz sposób wiązania dowodzeń można z góry odgadnąć ogólną zawartość niektórych tomów, naturalnie z pominięciem materyału faktycznego. Uświadamiamy sobie doniosłość tego zarzutu, lecz tem nie mniej stawiamy go z całą stanowczością. Możemy tu wspomnieć o pewnej próbie. Mianowicie gdy ukazała się szósta część *Zasad socyologii*, traktująca o rozwoju hierarchii kościelno-kapłańskiej, nie czytając samego dzieła skreśliliśmy jednakże przebieg właściwych mu rozumowań i wniosków—z powziętym zamiarem dowiedzenia apriorystyczności. Po przeczytaniu wypadło nam dodać tylko materyał faktyczny dla uprzytomnienia biegu ewolucyjnego w tej dziedzinie. W ten sposób powstał artykuł, drukowany w *Prawdzie* z r. 1886. A jednakże czytelnik, zwłaszcza który poprzestał na jakiejś jednej pracy socyologicznej filozofa angielskiego, z trudnością zgodzi się, być może, na nasze zdanie. Sposób wykładu w każdym pojedynczym ustępie i obfitość dowodów ogłuszają profanów. Spencer bowiem postępuje w ten sposób, że w każdym rozdziale przytacza mnóstwo faktów, buduje na tej podstawie uogólnienie i „doświadcza“ je, tj. sprawdza, czy zgadza się ono z wnioskami poprzednio wypowiedzianych założeń. Należy wszakże rozejrzeć się w całości doktryny Spencerowskiej, aby zrozumieć zwodniczość rzekomej indukcyi. W całokształcie socyologia an-

---

Okrutniejsi byli względem
Nieszczęsnego hebreity,
Jako niegdyś filistyni
Nad Samsonem się znęcając.
Wreszcie Izrael ostatnią
Najważniejszą kartę przegrał:
Krótko mówiąc, dnia pewnego
Chrześciański świat ogłasza,
Jako jest niewypłacalnym.
Zdawna już od żydów więcej
Pożyczono, niźli można
Było spłacić... Straszny cios ten,
Cios ostatni, a najcięższy,
Katastrofa ta, bankructwo
Chrystyanizmu, dało impuls
Wyprowadzce: żydzi wreszcie
Decydują się oddalić.
Na żydowską wiarę wówczas
Przeszedł Munkel, obrzezaniu
Podległ i nazwisko zmienił:
Zwie się Gothold Efraim Munkel.
A synowie Abrahama
Naczelnikiem go obrali
Swej wyprawy. Jak on do nich,
Tak i oni też ku niemu
Czuli pociąg: był im blizkim,
Nie krwią z krwi ich, ani ciałem
Z ciała, ani z serc ich sercem,
Ale duchem był z ich ducha.
Mojżesz, Ksenofont, Firdusi,
Herman Lingg i Dahn i Jordan,
Ci trzód ludzkich poganiacze,
Ci wędrówek ludów piewcy,
Niechaj pióra mi pożyczą,
Abym godnie odmalował
Wyjście ludu wybranego.
„Bywaj zdrów, niewdzięczny świecie,
Niegodziwa Europo!“
Tak wołały, patrząc nazad,
Z portów morza Śródziemnego
Połączone tłumy ludzi:
„Żydożercy wy żarłoczni,
Biada wam! poznacie jeszcze,
Że, choć łatwo połknąć żydów,
Ale trudno jest ich strawić!“
Tysiąc żagli powiewało,
Na obszarach morza gładkich,
A ładownych statków tyleż
Za żydami tuż się wlokło,
Wioząc weksle niespłacone.
Wyjście ludu hebrejskiego
Smutny widok przedstawiało;
Ale świetnym był też za to
Wjazd do miasta Jeruzalem.
Mury lśniły się świątecznie,
Każdy dom i każdą bramę
Przystrajały palm gałązki,
Bruk usłany był kwiatami.
Brzmią cymbały, kotły, harfy,
Młodzież i dziewice tańczą,
Starzy żydzi nucą psalmy.
A najstarsi z ludu jadą
Na wielbłądach tam, na czele.
Między nimi Munkel jechał
Na przepyszným dromaderze.
A przy Munklu prowadzony,
Jak w pochodzie tryumfalnym,
Stary żyd, powagi pełen,
Ahaswerus, wieczny tułacz.
Współplemienni wyjść nie chcieli,
Uspokoić się nie mogli,
Aż na jego ślad trafili,
I skłonili, by wraz z nimi
Do ojczyzny świętej dążył.
Teraz z dumą nań patrzyli,
Czcząc w nim obraz, który
Stał się ciałem, obraz mocy,
Żywotności Izraela.
W pięknych grupach i oddziałach,
W nieskończonych prawie rzędach,
Podążały rozmaite
Cechy, stany, bractwa żydów;
Każdy oddział z swojem godłem,
Z sztandarami, z symbolami.
Naprzód kroczył cech szachrajski,
Niósł na plecach ciężkie wory,
Za nim rój lichwiarzy-żydów;
Ich emblemat na chorągwi
Wyobrażał Schylokowski
Mięsa funt na szalce wagi.
Dalej rój giełdziarzy-żydów;
Ich emblemat — to fortuny
Kula, w kształcie bomby, która
Pęka z trzaskiem, (krach inaczej).
Dalej błyszczy dumna grupa
Potentatów finansowych:

gielskiego myśliciela czyni wrażenie następujące: Doszedł on do pewnego poglądu socyologicznego, np. w dziedzinie rozwoju pojęć religijnych do sądu, że wszystkie one powstały z wiary w sobowtorów. Wtedy poleca sekretarzowi nagromadzić odpowiednie fakty, które ustawia w wiadomy już *à priori* sposób, i oto dzieło gotowe, obfitujące w materyał faktyczny, który stosownie dobrano, pomijając niepożądany. W ten sposób socyologia Spencerowska przedstawia wprawdzie gmach na pozór okazały, wykończony, mocny, ale w gruncie rzeczy bez trwałej podstawy. Nie dziw też, że z ukazaniem się badań mniej apriorystcznych poczyna on szybko się rozkładać. Z tej zasadniczej wady socyologicznego systemu wynika mnóstwo innych. Już mówiliśmy o zupełnem nieuwzględnianiu czynników ekonomicznych, którym pewne kierunki w społecznoznawstwie przypisują bardzo wielką rolę. Filozof angielski zdradza najzupełniejsze niepojmowanie w tej mierze i w swych zapatrywaniach ekonomicznych nie wybiega po za najbardziej oklepane ogólniki wolno-handlowców w rodzaju Bastiata, jak wiadomo najmniej naukowego kierunku w ekonomii. Że ustrój społeczny może przedstawiać, chociażby w pewnym tylko stopniu, odzwierciedlenie przedmiotowych warunków, jak bieg rzeki — topograficznych, o prawdę tę nie potrąca on ani razu, przynajmniej w sposób świadomy. Biologiczne pojmowanie panuje tu jedynie i wyłącznie...

Wykazaliśmy główną wadę, z której wynikają inne. W dalszą a drobiazgową krytykę socyologicznych wywodów Spencera wdawać się nie będziemy na teraz. Być może, w bliskiej przyszłości wrócimy do rozbioru pierwszego tomu *Socyologii*, który już ukazał się w przekładzie polskim, o rozwoju wierzeń religijnych i w ciągu dalszym drugiego — o społeczeństwie jako organizmie. Lecz wtedy będzie nam chodziło już nie o Spencera, lecz o całe odnośne kierunki, wśród których jest on tylko pojedynczym wyznawcą i szermierzem. Natomiast zwrócimy uwagę na stanowisko doktryny socyologicznej Spencera w tegoczesnej walce interesów społecznych. Gdyby trzeba było przykładu, że i systemy filozoficzne noszą na sobie znamię warunków i zapasów społecznych, trudno byłoby wyszukać lepszego przykładu. *Filozofia syntetyczna* jest tylko filozoficznem sformułowaniem stanowiska właściwego doktrynie ekonomicznej, głoszącej, że ogólne szczęście jest możliwem tylko przy nieskrępowaniu przejawów wolnej konkurencyi. Zresztą poglądy te zostały zwłaszcza wyraźnie wypowiedzianymi we *Wstępie do socyologii* i *Jednostce wobec państwa*. Spencer walczy tu przeciw reformom prawodawczym, ustawodawstwu fabrycznemu, organizacyom robotniczym, przymusowemu szkolnictwu itd. Wiadomo np., że kryzysy i ciągłe wahania rynkowe, pozbawiające człowieka zarobku bez żadnej winy, są nieodłączną właściwością obecnego ukształtowania stosunków wymiennych. Tymczasem, zdaniem Spencera, ludzie pozbawieni zajęcia są to „poprostu nicponie, którzy w ten lub inny sposób żyją kosztem godniejszych osób; są to włóczęgi i głupcy, kryminaliści lub jednostki będące w drodze do kryminału." Opieka państwowa — to tylko płaca za lenistwo lub nieudolność. Dawny manczesteryzm ekonomiczny stawiał twierdzenie, że ze swobodnej gry zapasów konkurencyjnych wyłoni się dobrobyt ogólno-społeczny. Rzeczywistość wykazała coś wręcz odmiennego, mianowicie iż jako następstwo współzawodnictwa zjawia się nędza tłumów, oraz dowiodła, że owe głosy za swobodą są wołaniem klasowego interesu kapitalistów. Spencer, w celu obronienia konkurencyi, porzucił wązkie i przytem mało znane sobie pole ekonomicznych dowodzeń i zajął daleko szersze, ogólno-organiczne, wspólne mu z całym t. zw. darwinizmem społecznym. Wychodzi on z zasady walki o byt, w której jego zdaniem giną osobniki nieprzystosowane do warunków zewnętrznych bytowania, utrzymują się zaś jedynie lepsze i godniejsze. Podobnie pojmuje on i społeczeństwo jako arenę przystosowywania się, idącego drogą zagłady nieudolniejszych w walce o utrzymanie. Lecz zapasy te tylko wtedy biegną należycie i z pożądanym skutkiem, kiedy każdą jednostkę pozostawia się jej własnym wysiłkom oraz zasłużonym skutkom działalności. Wolna konkurencya jest właśnie dowodem takiej wolnej gry jednostkowych starań o przystosowanie się. Wszystkie ustawodawstwa fabryczne, bezpłatne szkoły, hygieniczne przepisy itd. zmierzają jedynie ku zapewnieniu wyżycia wybiorków z uszczerbkiem dla godniejszych, zdolniejszych. W tem swojem dowodzeniu przeocza on wszystkie możliwe fakty i po za apriorystycznemi założeniami nic nie widzi i nie chce nawet widzieć. Sobkostwo klasowe występuje tu w całej okazałości, zwłaszcza wśród rozpraw stanowiących *Jednostkę wobec państwa*. To żądanie swobody w walce zgadza się z całokształtem wszystkich poglądów, rozrzuconych w *Filozofii syntetycznej*. Rozwój wszechświata, w całości, jako też w każdej poszczególnej dziedzinie, polega na dążeniu ku pewnemu statycznemu położeniu — *the stationary state*, stanowi powszechnej harmonii i zgody, ale drogą zapasów i targania niedoskonałej równowagi. W ten sposób cały kosmos z każdą ze swych oddzielnych cząstek został pociągnięty, aby świadczył na korzyść wymagań partyjnych szkoły manczesterskiej. W swych żądaniach praktycznych Spencer jest krańcowym indywidualistą, lecz mieszczańskiego pokroju. Nie chodzi mu o to, aby jednostka dosięgnęła rozkwitu wszystkich swych władz duchowych, ale głównie zwraca uwagę, aby nie nadwerężano jej „naturalnego prawa" do swobody w działaniu, chociażby to był przymus rodziców do niezaprzedawania małoletnich dzieci fabrykantom i do posyłania potomstwa do szkoły. Dzięki tej obronie samodzielności osobniczej, będącej zresztą cechą całego darwinizmu społecznego, zbliża się on nadzwyczaj do teoretycznego anarchizmu. Laveleye nazywa go z tego powodu ojcem duchowym tego ostatniego kierunku. W ten sposób anarchizm teoretyczny zdradza swe właściwe pochodzenie; w przeciwieństwie do kolektywizmu jest on dzieckiem szkoły manczesterskiej w ekonomii, bystrzejszem jednakże i zdolnem do głębszej analizy, aniżeli jego rodzic. Żąda bowiem również zupełnie swobody w zakresie zapasów wzajemnych pomiędzy jednostkami i tylko w tej wolności widzi jedynie źródło doskonalenia się rodu ludzkiego, lecz jednocześnie dowodzi, że wśród tegoczesnych ustrojów społecznych swobodny bieg walki został stargany. Jak niepodobna mówić o zwycięztwie lepszego i godniejszego w tym wypadku, gdy jednemu z zapaśników damy do ręki oręż — np. topór, drugiego zaś pozostawimy sile własnych mięśni, tak samo wynik walki zostaje wykoszlawiony wśród terytoryalnych społeczeństw, w których dzięki istnieniu przywilejów urodzenia miernota fizyczna i umysłowa ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo nietylko wytrwania w współzawodnictwie, lecz nawet zwycięzenia. Dość np. rozpatrzeć skutki przywileju, iż niektórzy rodzą się w posiadaniu kapitału, na rezultaty zapasów. Gautier, jeden z wybitniejszych teoretyków, z tego powodu występuje ostro przeciw mieszczańskim darwinistom społecznym w rodzaju Spencera,

---

Są to sami baronowie,
Jadą przy karecie złotej,
W której jaśnie-oświecony
Rotszyld siedzi; herb karety:
Helm na grubym worze złota.
Dalej zdążał nieprzejrzany
Dziennikarzy rój żydowskich,
Dalej znów semicka dziatwa
Apollina, literaci:
Włos w krytyczne laury zdobny;—
Wreszcie tłum szedł różnobarwny:
Moc żydziątek bez opieki,
Mnóstwo tęgich, ślicznych dziewcząt
I przekupek zabrudzonych,
I tak dalej, i tak dalej...
Niezmierzone, niezliczone,
A w porządku, równo, pięknie,
Wybranego ludu dzieci
Ciągną przez ulice pyszne
Miasta palm, Jeruszolaim.
Ach, któż zliczy, nazwie wszystkich,
Którzy błyszczą w tym pochodzie?
Wszystkich Gold- i Silbermanów,
Wszystkich Lilien-Rosenzweigów
Pinkelesów, Porkelesów,
Hundchen-Reisów, Vögle-Ochsów
Schnapper-Ellenów i innych
O nazwiskach jeszcze większych
I sławniejszych... które jednak
Pozwolicie, że zamilczę.
Wnet nazajutrz rano Munkla
Ogłoszono królem żydów.
Zdawna naród już w nim widział
Ongi przyobiecanego
Mu Mesyasza, który wprawdzie
Późno, ale przyszedł wreszcie.
O, przedziwny losów zwrocie:
Homunkulus siadł na tronie!
Już rozważa w duchu kwestyę
Towarzyszki tronu godnej,
Królewskiego godnej stanu,
Co ustalić ma dynastyę
Krwi szlachetnej na wiek wieków.
W tem jednego dnia, zdaleka
Do świętego Jeruzalem
Z Europy aż przybywa
Karawana cnych pielgrzymów,
Którzy przyszli się pokłonić
Tu, u stóp świętego grobu.
Traf chciał zdarzyć, że przy grobie
Właśnie w tejże samej chwili
Munkel stał i ważył w myśli,
Czy się godzi nadal znosić
Ciągłe chrześcian nieporządki
Tutaj, w Nowym Izraelu.
Karawana cnych pielgrzymów
Zbliża się, powagi pełna,
I przyklęka w świętem miejscu,
Pogrążając się w modlitwie.
Munkla wzrok spostrzega nagle
Śród pielgrzymów piękną, bladą
Twarz kobiecą; zdaje mu się,
Że już kiedyś gdzieś ją widział.
Bada rysy tej kobiety,—
Nieba! czy to sen go łudzi?
Ta pobożna, piękna, blada
Mniszka, — czyż to Loreley?
„Ona-ż to jest, moja nimfa?"
Pyta siebie; „jak się dowiem?"
Śledzi, kraj jej szaty uniósł,
Zbadać chce, czy nie wilgotny.
Nie, — jest suchy, pełny kurzu.
A jednakże to jest nimfa!
Jak zielone Renu fale,
Błyszczą piękne oczy mniszki.
Nie zapomni tego blasku,
Kto raz widział oczy nimfy!
Tak, w istocie, to jest Lorley!
Od owego czasu, kiedy
Za zwycięzkim poszła wodzem,
Opuściwszy męża, Munkla,
Ta kobieta o naturze
Tak niestałej, niespokojnej,
Zmiennej, ciągłych wrażeń żądnej,
W nową fazę weszła, dzisiaj
Stała się pobożną mniszką.
Lorley-Munkel — oko w oko, —
Ona męża wizi, z głową
Zdobną królów dyademem,
On dostrzega w niej kobietę,
Która jakby dlań stworzona,
Równie jak i on nadludzka,—
Mogli-ż być obcymi sobie,
Przejść, jak wrogi, koło siebie?
Skinął na nią, od świętego
Miejsca wabi ją ku sobie;

zarzucając im używanie nauki dla obrony interesów klasowych, i wzywa, jeżeli zaprawdę pragną szczęścia ludzkości, do zwalczania przywilejów — urodzenia, stanowiska, własności i przygotowania w ten sposób czystej areny dla wzajemnego współzawodniczenia.

Widzimy, że wady socyologicznych poglądów Spencera, już po za jego klasowem położeniem, są bardzo znaczne. Jednakże *Socyologia* tego filozofa posiada jednę wielką zasługę — jest dotychczas niemal jedyną wielką próbą skreślenia socyologicznych dziejów ludzkości i przytem zupełnie samodzielną. Francuska np. jest tylko różnem przerabianiem i rozszerzaniem wywodów angielskiego socyologa. Dla każdego, kto zechce poznajomić się ze stanem społecznoznawstwa europejskiego, przestudyowanie Spencera jest najpierwszym obowiązkiem— inaczej nie będzie posiadał klucza do zrozumienia wygłaszanych w odnośnej nauce poglądów. Przytem, jeżeli zapatrywania Spencerowskie szwankują nader w porównaniu ze zdobyczami dotychczas rozproszonemi nowszych socyologów, w zestawieniu z ogólnie krążącemi przekonaniami są wielkim krokiem naprzód. Wreszcie system *Filozofii syntetycznej* posiada jeszcze jedną zaletę — jest to najbardziej sformułowane, najfilozoficzniejsze i najlepiej wykończone dzieło mieszczańskiej filozofii. Wątpliwe, czy mieszczaństwo zdobędzie się już na coś okazalszego *).

Lud. Krz.

*) Tu musimy jeszcze wspomnieć o krytykach Spencerowskiej socyologii. Pod tym względem pierwsze miejsce należy się ruskiemu publicyście Michajłowskiemu. Następnie idą krytycy włoscy. Rzecz godna uwagi, że przeciwników dostarczają nie tyle koła naukowe, ile publicystyczno-partyjne. To jedno dowodzi, że socyologia Spencerowska jest mocno przesiąknięta pierwiastkami tendencyjnymi tegoczesnej chwili.

LITERATURA I SZTUKA.

SZTUKA W SŁUŻBIE.

I.

Jeśli za lat wiele ktoś uzmysłowi w niknących obrazach szereg ubiegłych wieków, to, kiedy do naszego kolej nadejdzie, na powierzchni ekranu ukaże się wielka, szara plama z promieniejącem w środku obliczem, które okrzyk zdumienia z ust widzów wywoła. Z niepojętą szybkością zmieniać się będą rysy tej twarzy i rozpostarte na nich odblaski uczuć i myśli; dłużej niż sekundę żaden rys niezmiennym nie pozostanie; nosy w takiej kolekcyi, jakiej żadne muzeum nie posiada, kolejno osadzone będą po środku oblicza; tęczówki wszelkich zabarwień rugować się będą wzajemnie w oczach rozmaicie wykrojonych i ukształtowanych; usta pulchne i czerwone przeobrażą się w wargi blade i zwiędłe, szerokie, wydęte i rozwarte ustąpią miejsca wązkim i zaciśniętym; niespodzianej metamorfozie ulegać będzie zarówno kształt czaszki, fryzura włosów, kontury uszu, zarysy policzków, cera, znamienne cechy wieku, ułożenie wąsów, brody ucięte *á la* Mierzwiński lub Boulanger i kosmetyczne upiększenia brzydoty i starości. W tym olśniewającym chaosie niezmiennymi pozostaną tylko zęby — wielkie, ostre, żarłoczne; i niezmiennie w rysach tych uderzać będzie brak duchowości. W końcu, gdy milion różnych typów fizyonomicznych prześliźnie się po jednem szablonowem obliczu, pozostanie na niem tylko spokojny zarys twarzy pospolitaka, który z dumą wydmie policzki i wyrzuci z nich na tło ekranu błyszczące litery, uszeregowane w słowa: to ja, wielkie mieszczaństwo!

Może wtedy tłum widzów wybuchnie jedną rozgłośną gamą wesołego śmiechu; lecz my posępną tę zmorę oglądamy na jawie i w każdej chwili, my żyjemy powietrzem, które oddech jego uczynił trucizną dla ducha, czadem, ubezwładniającym lot myśli i uczucia i my uśmiechu na twarz przywołać nie potrafimy.

Przed wiekiem ręce ludzi oślepionych jasnością idei, z głębi ich duchów bijącej, wprowadziły tchórzliwego kupczyka na pierwszy szczebel drabiny, wiodącej na wielką światową widownię. Z piwnicy, w której historya w ciągu wieków go trzymała, wynurzyła się jego głowa i ogarnęła okiem słoneczną płaszczyznę z rozlanymi po niej zdrojami uciech, których śluzy nie były już przed nim zamknięte. Więc z niehamowaną radością wykrzyknął: to ja, to ja! mam pieniądze, kupuję wszystko! Z uporem i zaciętością gramolił się teraz coraz wyżej, opłacając złotem każdy szczebel drabiny. Wreszcie monarchia lipcowa podała mu rękę i wciągnęła go na szczyt pożądany. Wtedy w bezmiernem upojeniu zawołał: to ja! prócz mnie niema nikogo. Na niebie świeciło jeszcze słońce, w którem zgorzały wielkie duchy ludzkie, piękne słońce, ciepłem idei od wieków już ogrzewające ziemię i niegasnące, choć oblekały je niekiedy chmury tak gęste, iż promień jego ku ludziom przedrzeć się nie mógł. Słoneczne blaski raziły oko kupczyka, więc dmuchnął, zgasił je, i zapaliwszy łojową świeczkę powiedział: ja będę świecił!

Życie nasze upływa teraz przy tem mdłem i nikłem świetle. Oczy oswoiły się z półmrokiem i nie możemy sobie zdać sprawy, jak wygląda świat w dzień biały. Zresztą i w tym stanie rzeczy można sobie urządzić życie niedrogo i wygodnie. Czy na świecie zmieniło się co ku gorszemu? Przeciwnie. Dawniej nie było kolei, dziś są; jest już masa rzeczy bardzo przyjemnych, a będzie ich jeszcze więcej, gdyż wynajęliśmy całą rzeszę uczonych, którzy nam wyrabiają różne cacka. Czy podobna uwierzyć, że w jakiemś miejscu, do którego ani koleją dojechać, ani balonem zalecieć, ani drutu telegraficznego przeciągnąć nie można — unoszą się promienne tchnienia, które niegdyś rozmarzały ludzkość, kazały jej wsłuchiwać się w przenikające swą mocą pieśni uczuć i rozpalonym prętem chłostały jej myśli, zniewalając je do biegu? Przeszłość rozwiała już tchnienia te i mniejsza o nie, my, bowiem, mamy kataryniki, panoramy i operę, w której ludzie do tego przeznaczeni wyśpiewują nam wszystko, co się komu kiedykolwiek czuć podobało. Czy duch ludzki wylewał się kiedy w formy przestronniejsze od naszych, ukute w kuźni wielkiej szlachetności lub bezgranicznej podłości; czy poszukiwał gromkich wyrazów, dźwięczących pełnią uczucia lub namiętności, obejmujących myśl podniosłą i z ust odwagi wyrzuconych; czy istniały wielkie charaktery? Aha, istniały, niech im ziemia lekką będzie. Teraz ich niema, a przecież cztery pory roku odmieniają się po dawnemu i woda nie nabrała koloru. Zresztą powiedzmy prawdę; można, udając się na spoczynek, przeczytać *Antygonę*, lub na scenie obejrzeć kostym Ryszarda III-go, ale gdzieby można było umieścić bohaterkę Sofoklesa, lub znaleźć posadę dla Shakespearowskiego Hotspura, gdyby przyszli teraz na świat, nie skróciwszy swych duchów! Każdy z nas ma swój interes, swój „business," od którego opłaca właściwy podatek, każdy sumiennie przędzie własną nitkę złota, która jest zarazem nitką praw

Ona idzie za nim śmiało,
Opowiada mu o zmianach,
Które przeszła lat ostatnich.
„Do Ameryki przybyłam —
Rozpoczyna swą opowieść —
„Z śmiałym wodzem rewolucyi,
Lwem-Zającem, który — jak ci
To wiadomo — podczas najścia
Amazonek w Eldorado,
Swoją branką mnie uczynił.
Tam, za morzem, mój Lew-Zając
Na wolności i równości
Trwałym gruncie, wielką rolę
Wnet odegrał i bogatym
Został wkrótce plantatorem.
Teraz niezłe ma widoki,
Prezydentem pewnie będzie
W sławnem państwie Yankeesów.
Lecz mnie czekać na to, brakło
Cierpliwości i ochoty,
Bo zmieniony na filistra,
Na meklera, na suchego
Cyfr człowieka, mój Lew-Zając
Wydał mi się szorstkim, wstrętnym,
Dumą złota wzdętym brzuchem.
Kilka lat następnych żyłam
Śród mormonów nad jeziorem
Słonem, jako szanowana
Pierwsza z żon wielożennego
Mormońskiego nauczyciela.
Był to kaprys ciekawości!
Chciałam właśnie pisać studyum
O *małżeństwie* — lecz znów począł
Przeć mnie popęd do działania.
Zapragnęłam oswobodzić
Moją płeć od jarzma mężczyzn,
Chciałam zrzucić najpodlejsze
Z jarzm: wierności obowiązek.
Lecz niewolę tą znieść może
Tylko równe z mężczyznami
Prawo *pracy* płci niewieściej.
W imię tego prawa mężnie
Wystąpiłam więc do walki.
Lecz mężczyźni kląć poczęli:
„Dla nas samych dziś zaledwie
Starczy pracy; cóż się stanie,
Gdy połowę naszej pracy
Zechcą wziąć kobiety sobie?"
Widząc, że starania moje
Rozbijają się o dzikie,
Brudne mężczyzn samolubstwo,
Rzekłam: „żegnaj!" Zachodowi.
„No, i stałaś się dewotką?"
Zażartował Munkel, ale
Gorzki uśmiech drgał mu w twarzy.
„Za natchnieniem serca idąc,
W tę pielgrzymkę się udałaś?"
„Czemuż nie?" — odparła Lorley
„Toć istnieje w sercu popęd,
By w pielgrzymce do miejsc świętych
Dziki uczuć wir uciszyć
I istnieniu nowy powab,
Z nową zmianą wraz, użyczyć.
Często właśnie u światowych
Kobiet, u poważnej sceny
Bohaterek..."
„Pięknych grzesznic
W ogólności!"—przerwał Munkel—
„Tak, grzesznice piękne czasem
Uczuwają w sercu takie
Poruszenia pobożności!"
„Częściej niż ty sądzisz" — rzekła
Lorley, „i poważnie wówczas
Czują piękne te grzesznice!"
„Nimfy czują też poważnie?"—
Spytał Munkel z drwiącym śmiechem.
„Przecież nimfy — ich natura,
Ich wrodzone cechy bronią
Przed starością i zwiędnięciem!"
„Nimfy czują też poważnie,
Gdy po ludzku zaniemogą!"
Rzecze na to skromnie mniszka.
Jej poważny ton brzmiał dziwnie,
Głowę na pierś opuściła.
„Lecz tym razem" — odrzekł Munkel
Zlekka drwiąc, „tym razem może
Parła cię tęsknota trochę,—
No, tęsknota *nieświadoma*
Za twym starym przyjacielem,
Chciało się ci ujrzeć jeszcze,—
I tem bardziej, że przyjaciel
Zdobył przez ten czas *koronę*.
Prawda, że korony złota
To gatunek jest najlepszy
Złotej rudy?.. rudy, którą
My oboje tak kochamy!.."

do bytu, a praca to niełatwa, niechby Antygona spróbowała! Tylko naiwny i głuchy, tylko wróg nasz nienawiścią zaślepiony i człowiek o szpetnie czarnej duszy mógłby znaleźć w siedlisku naszych niespłaconych rachunków życiowych, naszych haseł ekonomicznych, naszego handlu odrodzonego, naszych wielkich cywilizacyjnych zadań — miejsce dla ducha ludzkiego, niedającego się uzmysłowić w cyfrze i wnieść do *debetu* lub *creditu* książki kupieckiej. Owszem, popieramy oświatę i sztuki piękne—strach, co nas kosztują śpiewacy, aktorzy, dobre woltyżerki i inżenierowie — popieramy wszystko, co nas bawi, lub co dla nas pracuje; ale żądać od nas namiętności, poświęceń, uczuć, bezpłodnych rozmyślań nad rzeczami trudnemi do zrozumienia jest to samo, co żądać od cielęcia, by ryczało, jak wół, lub nakazać kantorowiczom, by wierszem po łacinie układali rachunki. Za kogoż by nas wtedy wzięto, ktoby nam udzielił kredytu, lub przyjął w zastaw nieprocentujące szpargały ducha?

Biedny ten Falstaff mieszczański! Utracił on już dowcip, a zachował cnoty swe i brzuch większy od najmędrszej głowy, więc zdaje mu się, że strawił mądrość tych, których już niema, a pożarł tę, którąby oświecić mogła następne pokolenia, i wierzy, że brzuch jego jest skałą, której wieki nie zetrą, by smrodliwym jej pyłem o nudności przyprawić własną jego dziatwę! Na wszystkie wykręty, którymi Falstaff niecnotę swą osłania, jest jeden tylko sposób: oto cierpliwie wyławiać końce jego kłamstw, przypieczętować je do jego fotografii i tem go obdarować, nie nużąc się nigdy powtarzaniem, iż jest kiepskim aktorem na nietrwałej scenie, karykaturą Molocha, złotem opancerzoną i spotniałą bryłą mięsa, która w upalnem swem wnętrzu własnego ducha upiekła.

W dobie mieszczańskiego dnia jest chwila, kiedy po ukończonym „businessie“ każdy szanujący się człowiek zawiązuje w jeden węzeł nitki rozsnutej w ciągu dnia kupieckiej i geszefciarskiej przędzy, chowa ją w skrzynce swego mózgu i idzie się bawić. W imię tej jego chęci, ulatującej na skrzydłach złota, powstały teatry, narodzili się wielcy artyści, tenorowie pochwycili wysokie *cis* i nadpłynęła flotylla z armią librecistów, niesłusznie dramatycznymi pisarzami przezwanych. Zobaczmy jak oddech mieszczaństwa podzielił na wielki i świetny odłam literatury, nazwany dramatyczną i na jakie szlaki zapędził sztukę, która od wieków przyjęła na siebie pośrednictwo między utworem dramatycznym a okiem i umysłem widza, będącego zarazem czytelnikiem.

Można łkać ze wzruszenia, czytając dramat Shakespearowski lub tragedyę Sofoklesowską w oddaleniu od sceny, można śmiechem się dławić i całą duszą oklaski bić na widok Tartuffa, zamkniętego w wątłej książczynie. Współczesnych dramatów i komedyj nie czyta się nigdy i żaden z tych utworów nie ma sensu, dopóki nie zostanie upostaciowany na scenie, podobnie jak libretto opery jest tylko stekiem głupstw do czasu, aż wyśpiewa je artysta. Oto jest zasadnicza i powiedzieć można przerażająca cecha przewrotu, jaki nastąpił w literaturze dramatycznej. Przewrot taki równa się uschnięciu i zmarnowaniu gałęzi, która na drzewie literatury była najpiękniejszą w czasie, kiedy powieść nie rozporządzała zdobytą dzisiaj techniką w rozsnuwaniu i malowaniu obrazów, postaciowaniu idei i kopiowaniu życia. Komedya to jedynie, dramat i tragedya — jeśli usuniemy poemat nieuscenizowany — skupiały wtedy na estetycznie pięknym szlaku podniosłe ideały, wytykające przed duchem ludzkim nie poziome tory i sprzęgały obrazy życia, zmuszające do refleksyi, do krytycyzmu i uświadamiania sobie własnych życiowych ideałów. Nie powieść to jednak, po zrzuceniu niemowlęcych powijaków, zabiła swą dramatyczną siostrzycę. Dwie te drogi twórczości nie uszczuplały się wzajemnie, lecz posiadając wiele punktów stycznych, zachowywały każda po swej stronie szerokie widnokręgi dla siebie tylko otwarte, światła zaś gorejące nad nimi wzajem rozjaśniały sobie zaciemnione miejsca. Dziś mianowicie, kiedy powieść zabłąkała się na piaszczystych i jałowych wydmach naturalizmu, dramat mógłby duchowi ludzkiemu niezmierne oddać usługi, gdyby posiadał jeszcze swój pierwiastek etyczny, gdyby utrzymał swój lot nad poziomem powszedniości, gdyby umiał skupiać realne, lecz rozproszone w drobnych pyłach cechy człowieczej duszy, w ideały podniosłe i odlewał je w formie wielkich charakterów.

(D. c. n.).

F. G. Brodowski.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 4 maja.

„Gyges und sein Ring“ Hebbla. — Koncert w pałacu Auerspergów. — Wystawa jubilerska w pałacu Schwarcenbergów. — Wystawa austryackiego muzeum przemysłowego.

Zawiódłszy się na lekkim, wesołym, współczesnym utworze autora żyjącego a nieznanego, dyrekcya Burgtheatru, po kilkakrotnem odegraniu komedyi „Wilddiebe,“ postanowiła wystawić sztukę ciężką, poważną, osnutą na tle dalekiej przeszłości przez autora zmarłego już a słynnego. I ta próba niezbyt świetnie się powiodła, po części dlatego, że dyrekcya popełniła niezręczność, pozwoliwszy Sonnentalowi i Wolterowej odjechać za urlopem właśnie wówczas, gdy przygotowywała wystawienie tragedyi Hebbla „Gyges und sein Ring.“ Genialny autor najlepszego może niemieckiego utworu dramatycznego, napisanego w czasach po-schillerowskich, „Maryi Magdaleny,“ jeszcze w r. 1854 osnuł tragedyę na tle starolidyjskiem; wystawiono ją po raz pierwszy dziś, w trzydzieści pięć lat po jej napisaniu. Kandaules, król lidyjski, rozkochany w piękności żony, opowiadał o wdziękach jej faworytowi swemu, młodemu grekowi Gygesowi; a gdy tenże o prawdzie słów jego zdawał się powątpiewać, zaproponował mu, aby się nocą ukrył za otwartemi drzwiami sypialni, skąd przez chwilę oglądać będzie mógł obnażone wdzięki królowej. Według opowiadania Herodota, królowa spostrzegła oddalającego się Gygesa. Nazajutrz przywoławszy go do siebie, dała mu do wyboru: śmierć bezzwłoczną, lub zamordowanie Kandaulesa i poślubienie jej. Gyges przyjął i wykonał drugą propozycyę. Hebbel pogłębił charaktery i akcyę uczynił przystępniejszą dla pojęć naszych. Kandaules, to człowiek lekkomyślny, sangwiniczny, zmysłowy, lecz nie namiętny, próżny i chełpliwy: Rhodope, żona jego, to kobieta o niesłychanej wstydliwości, a „zasłona jest częścią jej samej.“ Postępek króla istotę jej obraża do głębi. Hebbel powikłał samo zajście, około którego obraca się treść sztuki: Gyges wchodzi do sypialni królewskiej, używając czarodziejskiego pierścienia, który go uczynił niewidocznym. W chwili stanowczej jednak, żałując swego postępowania, porusza pierścionek, by go ujrzano i wzdycha głę-

---

Mówił to z uśmiechem; z śmiechem
Wdzięcznym zamiast odpowiedzi
Ramionami wzrusza nimfa...

Sarkazmami smaga Munkel
Jeszcze wciąż niewierność żony.
Lecz ta wzywa sztukę wody
W pomoc, lśniącym cudnie perłom
Łez na rzęsach igrać daje,
I już Munkla gniew łagodzi
I do zgody go nakłania.
Wnet na drugi dzień, dojrzale
Rzecz zważywszy, postanowił
Jeszcze raz jej nadać prawa
Swej małżonki. Wzrokiem, usty,
Piękna nimfa mu ślubuje,
Że po tylu doświadczeniach,
Już się więcej złudzić nie da
I dotrzyma mu wierności.

Lorley staje się żydówką.
Munkel swemu narodowi
Jako żonę ją przedstawia
Znów po stracie odzyskaną!
Odtąd w blasku sławy przy nim
Na Dawida tronie siedzi!
O, dziwaczny losów zwrocie!
Homunkulus, ha! na tronie
I koronę nosi nimfa!

Munkel czuje teraz jawnie,
Że nie został powołany
Na korono-nosza tylko
Na próżniaka — króla. On chce
Byś czemś więcej, niźli król, chce
Być Mesyaszem swego ludu!
Czyż nie wzrasta człek z swym celem,
Jako dom z ślimakiem wzrasta?
Nowy Mesyasz świat zadziwi,
Będzie Mesyasz to *Rozumu*,
Co osiągnie większy tryumf
Niźli biedny galilejczyk,
Który był Mesyaszem *Serca*
I na krzyżu miał nagrodę.
„O, ten słaby człowiek“ — mawiał

By wrodzoną bystrość żydów
Jeszcze podnieść i rozwinąć,
Munkel szkołę wnet zakłada,
Wyższą szkołę, której celem —
Mądrość życia szczepić w ludziach
I odnowić talmudyczny
Dar krętactwa i subtelność,
Tylko w duchu nowoczesnym
I już na praktycznym gruncie.

Wraz ogłasza posłannictwo
Już trzeciego testamentu,
Co dopełniać ma, wyjaśniać
Oba stare testamenty.

Na tej drodze wkrótce krytyko-praktyczno-eklektyczny
Zmysł żydowski — niebywały
Dotąd w dziejach szczyt osiąga.

Lecz cóż z tego?! Dla olbrzymich
Tych zdolności wązkie były
Szranki czynu, działalności.
Sami z sobą, w ciasnem kole
Współwyznawców, byli żydzi, —
Czem pokrywa jest bez garnka.
Wszyscy równie chytrzy, śmiali,
Bez skrupułów i bezczelni:
Nikt nikogo okpić nie mógł,
Nie pożyczał nikt u innych.
Rotszyld włóczył się, jak żebrak,
Nocą, skrycie, po ulicach.
Recenzentom zbrakło wątku
Do sprawozdań słonych, pieprznych,
A szyderców ostrym zębem
Materyału do szarpania.
Satyrycy gryźli pióra
I ziewali; pan Fritz Mauthner
Nie znajdując „słynnych wzorów“
Gryzł się własną swą nicością
I sam siebie parodyował.

I tak w jedno wielkie Ghetto
Zmienił się gród Jeruzalem;
Na światowym jego rynku,
Nie znajdując kupców, starej
Garderoby stos pleśnieje.

(D. c. n.).

boko, porwany wdziękami uroczej Rhodopy. Nie spostrzeżono go jednak; a nazajutrz, rozkochany w królowej, postanawia opuścić Lidyę. Przy pożegnaniu oddaje królowi dyament, który nocy owej zdjął z szyi królowej. Ona tymczasem, słysząc że Gyges dwór opuszcza, wątpi, że on to był wówczas w sypialni i żąda od niego, by się poddał śmierci. Gyges, wyznawszy jej miłość, chce się poświęcić; lecz poznawszy postępowanie Kandaulesa, Rhodope cofa swój wyrok; pojedynek rozstrzygnąć ma o losie jej. Gdyby Kandaules zwyciężył, zabiłaby się; atoli zwycięża Gyges. Rhodope zostaje jego małżonką. Wiemy z listów Hebbla, że pierwotnie nęciła go tylko anegdota, zawierająca motyw tragiczny, a dopiero po napisaniu sztuki przekonał się, że ma ona tło głębsze, ideę przewodnią: potęgę obyczajności. Aczkolwiek poeta subtelnymi pomysłami starał się uprawdopodobnić osnową i wnieść ją w sferę prawdziwie tragicznych starć, widz opuszcza teatr z przekonaniem, że z tego samego motywu, na którym niemiec osnuł ciężką, klasyczną, jambową tragedyę, zręczny i dowcipny francuz zrobiłby wyborną komedyę.

Żałoba na dworze austryackim pozbawiła tego roku stowarzyszenia dobroczynne znacznych dochodów, płynących zazwyczaj z balów urządzanych w porze zimowej. Dla częściowego powetowania uszczerbku tego, arystokracya wiedeńska zdobyła się naprzód na koncert, następnie na wystawę. Koncert, wykonany wyłącznie przez włoską primadonnę Alicyę Barbi i pianistę Grünfelda, odbył się za wysokiemi cenami wstępów w pałacu księcia Auersperga; urządziło go „Stowarzyszenie szlachcianek dla popierania rzeczy dobrych i pożytecznych.“ Instytucya ta o przestarzałym tytule, założona w r. 1811 przez księżnę Lobkowitz i Odescalchi, ważną odegrała rolę w dziejach muzyki; ona to w pierwszej połowie wieku obecnego wystawiała wielkie utwory muzyczne na koncertach, krzewiąc wielki styl w muzyce. Ona też dała pochop do założenia Towarzystwa muzycznego w Wiedniu. Pałac Auerspergów związany jest w dziejach muzyki z imieniem Glucka, tak jak pałac Schwarzenbergów — z imieniem Mozarta i Haydna, a pałac Lobkowitzów i Razumowskich — z imieniem Beethovena.

Prawdziwie magnackiem dziełem jest wystawa sztuki złotniczej, urządzona pod protektoratem ks. Metternichowej przez komitet arystokratyczny i znawców techniki złotniczej oraz archeologów, w pięciu komnatach pałacu Schwarcenbergów. Mieści ona mnóstwo przedmiotów wielkiej wartości, historycznie zajmujących. W sali pierwszej, zwanej gobelinową, ustawiono przeważnie rzeczy nowsze; sala biała i sala do tańców zawierają prace jubilerów z XVIII wieku, niebieska poświęcona jest wiekowi XVII, ostatnia zaś, zwana „papuzią,“ wiekowi XVI i XV. W salach, poświęconych okresowi rococo, widzimy przeważnie prace mistrzów augsburskich. Przodują tu Cumberlandowie ciężkim garniturem srebrnym, składającym się ze stołu, krzeseł i lustra wielkiego; arcyksiążę Albrecht wystawił niesłychanej wartości serwis srebrny, wykonany przez złotników wiedeńskich; zajmujące są też skarby niemieckiego zakonu rycerskiego. W osobnej szafie ustawione są liczne złote przedmioty, które należały do Napoleona I; prześlicznej roboty jest zwłaszcza złoty serwis podróżny, zawierający mnóstwo zgrabnych, drobniutkich narzędzi. Trudno wyobrazić sobie wielkiego Napoleona, używającego tych zabawek złotych.

Sala ostatnia zawiera przeważnie naczynia kościelne; ze świeckich przedmiotów odznaczają się też kielichy renesansowe, same niemal pamiątki historyczne. Esterhazy wystawił słynny kielich „Kleopatry,“ Rotszyld regensburski — kielich podwójny, ks. Metternich kielich wyobrażający Neptuna na ogromnej perle; kielich Paffy'ego odznacza się prześliczną robotą emaliową; z robót gotyckich najpiękniejszym jest kielich Korwina, ozdobiony słonecznikami.

Na zakończenie listu dzisiejszego jeszcze parę słów o wystawie w muzeum austryackiem (przemysłowem), ściągającej również nietylko wiedeńczyków, ale i przejezdnych, zjawiających się coraz liczniej. Wystawa ta, urządzona w dwudziestą piątą rocznicę założenia muzeum, składa się z trzech oddziałów: w sali prelekcyjnej umieszczono przedmioty, wykonane w ciągu ostatnich lat 25, przez wychowańców lub profesorów, następnie zbiór prac innych przemysłowców; drugi oddział zawiera roboty szkół przemysłowych i fachowych, będących pod nadzorem inspektorów przemysłowych, trzeci wreszcie wystawę wiedeńskiego towarzystwa dla przemysłu artystycznego. Aula arkadowa ozdobiona jest przepysznymi dywanami bośniackiej roboty, które wykonali robotnicy bośniaccy według rysunków przesłanych z Wiednia, oraz farbami umyślnie dostarczonemi, gdyż w Bośni używają tylko farb anilinowych. Z prac samego muzeum wspomnieć wypada o wspaniałej szafie w stylu odrodzenia francuskiego, projektowanej przez rzeźbiarza Kargera, a wykonanej przez rzeźbiarza Klotza. Szkoły fachowe wystawiły szereg prześlicznych urządzeń pokojowych, które prześcigają gustownością zeszłoroczną wystawę przemysłową; nader obfitą jest też wystawa wiedeńskich ślusarzy, stolarzy, szklarzy i złotników. W tym oddziale zwraca na siebie ogólną uwagę olbrzymi świecznik pomysłu słynnego budowniczego Schmidta, wykonany dla kościoła w Fünfkirchen, oraz biust barona Hasenauera, dłuta Tilgnera, odlany w bronzie. W ugrupowaniu przedmiotów przebija się ów smak wytworny, jakiego zawsze dowodzą artyści wiedeńscy, ktorym powierzono zaaranżowanie wystawy.

Stwosz.

Z ZACHODU.

Monachium, w kwietniu.

Jeszcze o zbyt patryotycznym kapłanie. — *Una bella miniatura.*—Nowy Eden we Włoszech. — Nieco o Paskalu. — *Szkice* Bourgeta. — Słabość dla poezyi angielskiej i Taine. — Mój protest. — Francuzi i retoryka. — Przyszłość poezyi.

Zastrzegłem sobie prawo powrotu do głośnej broszury niewiadomego księdza, więc mi jeszcze, czytelniku, uwagi swej nie poskąpisz *).

Widzieliśmy już, jak gorącym, namiętnym, prawie sentymentalnym patryotą jest ów bezimienny, jak miota się z gniewu na samo wspomnienie nowego rozdarcia Włoch dla... świeckiej chwały papieża. Ogólny jednak ton jego wywodów — spokojny, nawet na obliczeniach oparty. Tak np. bada on porządkiem sposób myślenia głównych klas narodu, schodzi do najgłębszych jego warstw i wszędzie znajduje tylko chłód i chłód dla ambicyj watykańskich. Zresztą, powiada, dzisiejszy Rzym powstał po roku 1870 siłą politycznej i handlowej konieczności. Połowa jego mieszkańców osiadła w nim w latach ostatnich i uczyniła go stolicą Italii. Stolicą więc być on za żadną cenę nie przestanie. Gdyby to było ognisko przypadkowe, a — to co innego; możnaby je było wtedy przenieść dowolnie do innego miasta.

Jak się działo dotąd apostołom wskrzeszenia władzy politycznej papieża? Bardzo smutno. Nadzieje, pokładane w wiernych monarchach zagranicy — rozwiały się. Niby deski ratunku, chwycono się wtedy różnych wróżb cudu — dziwacznych proroctw, których ziszczenie wróciłoby dawne dobre czasy... Ale i te miraże zawiodły, a jeśli dały coś pozytywnego, to w duchu nader— niepożądanym. Oto wedle słów autora: „Indyferentyzm i niewiara poczyniły straszne spustoszenia. Są we Włoszech miasta, mające przytem sławę szczególnej pobożności, gdzie ledwie połowa ludu chodzi w niedzielę na mszę a mniej niż dziesiąta część święci jeszcze Wielkanoc.“

Szkoda sił na bezowocną agitacyę — woła raz po raz wierny ten syn Italii. Na co zohydzać bezpotrzebnie ludowi kler i osłabiać dobroczynny jego wpływ na polu czysto religijnem! Albożzresztą sami duchowni wierzą w słuszność i owocność bronionej przez się sprawy? Zaledwie maleńka tylko cząstka, sami nieprzytomni fanatycy...

Może w tych cytatach jest trochę za wiele szorstkości, więc proszę, zwalcie ją, czytelnicy na kark piszącego te słowa. Albowiem autor pamfletu łagodny jest w swem rozumowaniu, jak istny *Agnus Dei*. To nie Savonarola, gromiący mnichów głosem Izajasza, nieśmiały buntownik u stóp papieskiego tronu — ale miękki, słodki, pojednawczy sługa boży, z głową otwartą wprawdzie na jasne argumenty, ale sercem tkliwem i do zgody skłonnem. Tę okoliczność podkreślić wypada czerwonym ołówkiem, ażeby mu się nie stała u nas krzywda, ażeby go nie wykięto zaraz z miejsca, jako „podłego libertyna,“ a w najlepszym razie nie pomówiono o namiętność i stronność.

Jeżeli w oczach pewnych klik powyższy protest przeciw rozkładowi Włoch, z takim zespolonych mozołem, ma ze swej strony coś „rozkładowego“—jest to delikatna u nas nazwa dla pojęcia „ateistyczny,“ — tedy, choć z przykrością, ostudzić muszę ich święte oburzenie. Bo niewiadomy ów duszpasterz wieńczy swą krytykę *syntezą*, a ostatnie pragnienia kreśli już nie trywialnem piórem, lecz oliwną gałązką pokoju. Nie ma on sumienia ogałacać Watykanu ze wszelkiej aureoli świeckiej. Przeznacza dlań *una bella miniatura*, czyli nader ponętny upominek „w naturze.“ Ach, co za upominek! Niewielki ale cudowny szmat ziemi na prawym brzegu Tybru, sięgający od dzisiejszej rezydencyi ojca świętego aż do morza. Byłoby to państewko udzielne, nie straszne rozmiarami, bo nie większe od rzeczypospolitej Andorskiej lub San-Marino, lub wreszcie... Monaco, ale miejsca na zagraniczne poselstwa, dla kardynałów i całego orszaku dostojników starczyłoby przecie. Niechże więc papież zaproponuje ten układ — zdaje się prosić prawie bezimienny. Upokorzenia w tem żadnego nie będzie, gdyż Leon XIII szczęściem nie oznaczał nigdy granic obiecywanej sobie ziemi, a rządowi włoskiemu, przy pomocy zwłaszcza Crispiego, z osobliwą łatwością przyszłoby odnośne statuty zmienić.

Puściwszy wodze rozmarzonej wyobraźni, nasz autor już z góry rozpływa się w błogiem zadowoleniu. Z zapałem młodego wieszcza maluje przyszły „Sion w sercu Italii,“ nową wyrocznię, z której wychodzić będą słowa życia. „Prawy i lewy brzeg Tybru, Watykan i Kwirynał, papież i król, religia i ojczyzna złączą w jedno promienie swej chwały, a radosny okrzyk pojednanej Italii zagrzmi nad głowami nieomylnego nauczyciela wiary i obrońcy kraju... Może to sen — ale niekiedy sny bywają proroce i kto wie, czy Bóg miłosierny, który Italię ukochał nad wszystko, który ją postawił na miejscu wybranego swego narodu (jeżeli tak, to nie zazdroszczę wcale włochom, *przypisek autora*) i uczynił punktem środkowym całego świata katolickiego; do niezliczonych dowodów swej miłości nie doda i tego jeszcze.“

Dłużej snuć tej złotej przędzy nie będę. Płacze się ona w dalszym ciągu, wikła

---

*) Nie mając jeszcze pod ręką samej publikacyi, opieram się na gruntownem, obszernem streszczeniu surowo akademickiej *Allgemeine Zeitung*, wychodzącej w Monachium.

w scholastyczne dowodzenia, lub też, zerwana na chwilę, splata w rozmyślania nad pomocą dla papieża, w razie gdyby Włochy wszelkie pakta odrzuciły. Innemi słowy, nic ciekawego już dla nas nie zawiera. Ważny dokument skończył się.

W prasie kornej już nań odpowiedziano podobno zgrzytnięciem zębów i... Ale pst! Przyrzekło się nie czynić żadnych osobistych uwag. Dotrzymajmyż słowa.

Dla równowagi pogadać warto trochę o — Paskalu. Powinna być przecie miłą niejednemu pamięć tego sfinksa, w którym jednak skrzydła w końcu zwyciężyły i ku niebu myśl jego czołobitnie poniosły.

Postać to nie nowa, ale dotąd dla francuzów i dla całego myślącego ogółu pełna gorzkiego powabu. Ludwika Ackerman złożyła jej w dani piękny poemat; prozaicy wzorują się jeszcze na stylu głębokich „Myśli" a nie wszyscy filozofowie zdają sobie jasno sprawę, czy to ironiczny sceptyk, czy żarliwiec religijny. Odżył on teraz na nowo pod nerwowem piórem Bourgeta, który tak oto podziwia niegasnący blask swego posępnego rodaka. „Wyznawać najbezwzględniejszy katolicyzm, chłonący ogniem swym dusze; wyklinać niewiarę, nie jako błąd, lecz jako zbrodnię; naturę ludzką tak głęboko poniżyć, żeby wyglądała jak stek głupoty i zepsucia; głosić wiarę, bo ją narzuca siła; deptać wolność, złorzeczyć postępowi, gardzić nawet literaturą, unurzawszy w błocie filozofię razem z nauką, etyką i wszystkimi świetnymi łachmanami społecznej parady — a pomimo to widzieć swą sławę rosnącą aż do dni naszych, kiedy najpiękniejsze wieńce wawrzynowe tarzają się w prochu i giną w zapomnieniu, być przedmiotem uwielbienia dla niewiernych, cenionym przez sceptyków, na podobieństwo świętego, czczonym przez pokolenie pisarzów, oddychających wolną myślą, postępem i tolerancyą: to zaiste szczególny paradoks! A przecież takim jest los wielkiego Paskala."

W swej organizacyi bardziej chłodniej możemy śmiało odrzucić wszystkie owe „superlatywy" i zgięte przed tem bożyszczem nogi—wyprostować. To nam nawet dobrze zrobi — bo pozwoli spojrzeć nań rozważniej i powziąć jeden nasuwający się tu wniosek. Bourget ma trochę duchowego powinowactwa ze swym bohaterem — sam pesymista, sam cierpi na chorobę wieku, którą jest zniechęcenie, brak ideałów porywających i goryczy. Jakżeż nie ma wpatrywać się z ekstazą w twarz jedynego francuza, który był prawdziwym męczennikiem ducha a prócz tego ciągłym pacyentem?

Te katusze schorzałego ciała, te niepierzchające nigdy z głowy *memento mori* nie mogło, według Bourgeta, żadną miarą znosić obok siebie wątpienia. W takim stanie zapanować musiała bezpodzielnie — wiara. A czem wytłomaczyć, że jednak wiele „Myśli" brzmi nutą odmienną? Po prostu tem, że Paskal powtarzał w nich jeno zarzuty przeciwników, ażeby je potem obalić.

Był to niejako wykład dowodów wrogiej szkoły, dokonany z tak głębokiem wniknięciem w jej ducha i tak wiernem jej odtworzeniem, że powstało nieporozumienie i ludzie pomyśleli, że to własne Paskala wyznanie.

Dużoby trzeba zająć miejsca, chcąc pobieżnie bodaj streścić dwa tomy *Studyów i portretów* Bourgeta, które ukazały się teraz aż w czwartem wydaniu. Czyta go świat skwapliwie, zaostrzywszy sobie apetyt *Okrutną zagadką*, *Zbrodnią miłości* i tym podobnymi jego utworami, które mogą naprawdę znęcić swym spokojnym, głęboko przetrawionym, lakonicznym i przekonywającym pesymizmem. Jako krytyk, Bourget również potrafi przykuć uwagę. Przenikliwy to dyablo umysł; zagląda też w najskrytsze tajniki analizowanych przez się natur. Pochodząc z rodu, który ignorancyi spodobało się nazwać, pokoleniem Taine'a, tak jak gdyby np. Carlyle nie dawał również świetnych koncertów rozbiorowej psychologii — Bourget umie charakteryzować znakomicie. A za to ma wyższość nad niejednym na śmierć zababranym w „estetyce" „specyalistą," że czuje bóle i cierpienia nietylko tych, co psują ryzy papieru, ale i tych, których na elementarz nie stać. Godne są przytoczenia w całości jego uwagi nad stosunkiem np. irlandzkich dzierżawców do landlordów. Ma wogóle dużo zmysłu dla spraw czysto społecznych i sympatyzuje z młodzieżą, daleki od duchowego arystokratyzmu Renana, Taine'a i im podobnych.

Ale skąd przyszło pisać mu o dzierżawcach Zielonej wyspy? Będzie nieraz żałował tego. Zwiedził bowiem Anglię we wszystkich jej dzielnicach i naturalnie świat plotkuje dokoła, że wzorem Taine'a. Ktokolwiek pisze o literaturze trojga połączonych królestw i odważa się „dla zrozumienia poety — według rady Schillera — iść do jego ojczyzny" ten otrzymuje nazawsze przydomek uczucia Taine'owskiego. A tu jaby na złość mnoży się z dniem każdym poczet umysłów, wierzących, że Szekspir wart więcej od całej plejady Corneillów i Racine'ów, że Mussetowi daleko do Byrona, Leconte'owi de Lisle do Swinburne'a, Dumasowi do... Walter Scotta, Berangerowi do—Tomasza Moora, że nawet Wiktorów Hugo znaleźć można pod niebem Albionu z pół tuzina. Któż byłby dziś natyle naiwnym, żeby nie przyznać bezwzględnej wyższości poetyckiej anglikom, czyja myśl nie doznaje zamętu na widok tylu geniuszów potężnej siły, indywidualności, jędrnych i samorodnych, jak gdyby powstały nie z wyblakłej cywilizacyi, ale z głębin morskich lub chaosu żywiołów. Olbrzymią jest zasługa Taine'a, że francuskiem piórem wyniósł na niebotyczny piedestał *Dzieje literatury angielskiej*, ale radzę nie zapominać, że przed nim i po nim uznano, iż za kanałem La Manche wzięła początek literatura wielkiej rewolucyi, iż za kanałem zjawili się ojcowie dzisiejszego realizmu, naturalizmu i wszystkich chlub, przypisywanych Francyi.

Bourget byłby płytkim i szowinistą, gdyby się nie korzył przed imionami Miltonów, Dickensów, Rosettich. Nie tłomaczę mu wcale naśladownictwem, że pojechał do Larici obaczyć zatokę, której fale pochłonęły Shelleya. Toć Taine'owi z formułki jego wypadło, że autor „Prometeusza rozpętanego" uczczony przezeń został aż na... czterech stronicach, gdy współczesnym, o dwie głowy mniejszym, poświęcono po *setce*.

Chwały tytana-estetyka, dziejopisa i filozofa w jednej osobie nikt umniejszyć nie zdoła, bo jest niespożyta, ale — gdybym mógł, wlazłbym na szczyt wieży Eiffla i trąbił od rana do nocy, żeby zaprzestano już raz w nim tylko upatrywać zbawienie i jego sylwetą zasłaniać wszystkich, jeśli nie mocą, to gustem mu pokrewnych. Być może, iż to Jowisz, ale w samej Francyi znaleźć można Apollinów, Hermesów i Plutonów, którzy niekoniecznie z niego siłę swą czerpią. Czy Baudelaire, Bourget, Lemaitre, Goncourtowie własnem światłem nie świecą?

Lecz wracam do Bourgeta. Szeroko rozwodzi się on i nad twórczością swych rodaków i wypowiada pogląd, że najsilniejszą ich stroną jest wspaniała retoryka. Jest to sąd bardzo znamienny, nie dlatego wcale, że jak twierdzi niemiec Weigand, uderza nowością, lecz że właśnie potwierdza dawniej już wygłoszone zdanie Brandesa (patrz tom piąty *Prądów — Romantyzm we Francyi*). I Musset tedy zawdzięcza swój ogromny wpływ potędze słowa, i Wiktor Hugo — i nawet Lamartine. Zdolność ta krasomówcza doszła do punktu kulminacyjnego w okresie tak zwanych *parnasistów* (*Les parnassiens*), tj. szkole poetów, założonej przez Katulla Mendes w końcu szóstego dziesiątka lat. Tym szło przedewszystkiem o kunsztowność idealną wiersza. I chociaż tak bardzo w piśmiennictwie nie upamiętnili się, jednak wielu młodych rymopisów ma od nich piękną swą formę.

Bourget zbacza w wielu szkicach od gwiazd pierwszej wielkości i gawędzi o ciekawych osobistościach wieku, jak słynny swego czasu Rivarol. Zbacza też i w sferę muzyki, teatru, historyografii, gdzie składa hołd Taine'owi i Micheletowi porównywając ich z sobą. Nie brak u niego rzeczy nudnych i błahych, ale mnóstwo też spostrzeżeń paradoksalnych i nowych, jak np. to, że u pisarzów jego kraju, wbrew pozorom, przeważa duch sceptyczny, pesymistyczny. O francuzach ostatniej doby niema co mówić, toczy ich melancholia aż nadto widzialna, ale i dawniejsi nie grzeszą optymizmem. Zarzucają im brak poczucia idei Faustowskiej i Manfredowskiej. Jest to słuszne, o ile nie zeszli do tych idej z wyżyn metafizyki „duchów szperaczów," ale nie słuszne, bo wznoszą się do analizy drogą wrażliwych i żądnych użycia, a więc i zużytych nerwów...

Czy ostanie się poezya naporowi demokracyi niwelującej wszystko i wiedzy, wkradającej się wszędzie — zapytuje Bourget, dla którego, piękno jest, sądzę, jedynym przedmiotem, opłacającym trud życia. W odpowiedzi brzmi raczej pociecha, niż obawa. Zawsze będą ludzie, łaknący oderwania się od teraźniejszości, żyjący wspomnieniami czasów minionych i marzeniami o jutrze. Będzie ich coraz mniej może. Ale arystokracya ducha, samotność umysłu wyższego i niezadowolonego w tłumie miernot, czyli to, co karmi poezyę, nigdy istnieć nie przestanie.

Cezary Jellenta.

T E A T R.

Nie mów hop, aż przeskoczysz, przysłowie dramatyczne wierszem przez Zofię Lasocką.

O Józię, fraszka sceniczna przez Michała Bałuckiego.

Owoc zakazany, komedya w 1 akcie przez Ludwika Niemojowskiego.

Niezdrowymi grzybami, narosłymi na pniu naszej twórczości literackiej, są: rozwlekłość, oraz brak zwięzłej, a gładko utoczonej formy artystycznej. Każdy nasz utwór jest podobnym do napęczniałej gąbki, z której możnaby wycisnąć obfity strumień wody.

W powieści nie razi to czytelnika, rzadko zresztą kształconego na lepszych, przeważnie francuskich wzorach; dzieło sceniczne przecież, a nowela i jednoaktówka przedewszystkiem, obwinięte powijakami nadmiernej powodzi scen i słów, nieskończenie brzydną. Razi nas, gdy piękna kobieta w zimie dużą ilością grubych szali i kaftaników zasłoni czyste linie swych kształtów, znosimy przecież z wielkim spokojem względnie podobny objaw w piśmiennictwie.

Dwie komedyjki z powyżej wymienionych, pierwsza i trzecia, stały się pastwą owych grzybów.

I p. Lasocka i p. Niemojowski nie zdołali zręczną i artystyczną robotą przebłagać, choć w części widza, za lichą, bardzo lichą osnowę swych płodów. Oboje czerpali wątek z najpospolitszych objawów życia salonowego, oboje również włożyli w usta występujących osób, manekinów raczej niedbale wyciosane wiersze.

Wyznam otwarcie, że ogarnął mię śmiech, gdy usłyszałem panów z grzywką i panie z turniurami, wygłaszających mimowoli szumne, rymowane tyrady. Wierszem przemawiali bohaterowie Racine'a i całej szkoły pseudo-klasycznej. Dla nas atoli moc obowiązującą posiadają Scribe, Augier, Dumas syn, którzy wywalczyli dla prozy wy-

łączne panowanie w sztukach, rozgrywających się na tle współczesnego życia.

P. Lasocka zapożyczyła z *Rozwiedźmy się* Sardou główną ideę swego przysłowia dramatycznego. Zaśniedziałe to już spostrzeżenie, że człowiek, zdolny do zawiązania stosunku z mężatką, porzuca ją, gdy spostrzega najmniejszą możliwość podjęcia na swe barki obowiązków stałego i prawnego opiekuna.

Pomysł p. Niemojowskiego tak dalece przypomina wytarty trzygroszniak, że i przytaczać go nie warto.

Mistrzem i formy i treści okazał się niedoceniony u nas Michał Bałucki. Łączy go bowiem pokrewieństwo duchowe z Labichem. U niego tak, jak u tego ostatniego, odnajdziesz zawsze pod nasypem farsy myśl głębszą i obywatelską, trafne spostrzeżenie z życia i ostrą, a pełną serca jednak satyrę na ułomności nasze.

Prawda, że zanadto ogranicza się on na Krakowie i tamtejszych stosunkach, że dalej, jak po za obwód dawnej rzeczypospolitej krakowskiej rzadko sięga okiem; zasiedział się w podwawelskiem miasteczku, wygodnie mu tam, więc i ruszać się nie chce i rozszerzyć widnokręgu swych obserwacyi nie może. Tu leży tajemnica jego zamałej, jak na talent taki przystało, wziętości, dlatego też nie wszyscy nie wszystko w jego utworach mogą rozumieć.

O Józię porusza sprawy ogólno-ludzkie, bo sercowe; światło tam przecież nowe, autor zaś przesuwa je szybko, scena bieży za sceną, nie szczędzi on dowcipu i komizmu.

Mąż, który oszukując żonę, mimo to ma u niej zaufanie dzięki świętobliwej obłudzie, i narzeczona, żądająca od swego przyszłego, by już teraz, na długi czas przed ślubem zerwał wszelkie stosunki z kobietami — oto dwie postaci, na naszej scenie nieznane, a wzięte z życia.

Prosta budowa i zwięzły, iskrzący się styl stanowią oprawę jednej z najlepszych komedyj autora *Radców pana radcy*.

Artyści mieli tu wdzięczne pole do popisu. Pp. Barszczewska i Czaki grały bardzo starannie; p. Tatarkiewicz, jak zawsze, zanadto się rzucał, chcąc naśladować młodość i gibkość trzydziestoletniego żonkosia.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Powitanie słońca. — Modły bałwochwalcze. — Pocieszenie dla więźniów. — Gotowość do zamiany przyjemności Warszawy na nudy wiejskie. — Wpływ natury. — Nieprzejednani. — Życzenie karenów. — Klasyfikacya sprzedających ziemię komisyi kolonizacyjnej. — Wzór oszczędności. — Marzenia ministra węgierskiego. — Nasze żywe zabytki kolejowe. — Wyższy humor drogi Terespolskiej. — Po gospodarsku. — *Curiosum.*

Od dwu tygodni przypominają mi się pod jasnem i ciepłem niebem wszystkie legendy dzikich i ucywilizowanych narodów, wszystkie piękne podania i baśnie poświęcone słońcu. Rozumiem peruwiańczyków, którzy w swych miastach zawieszali zwróconą ku wschodowi wielką twarz złotą, a nie rozumiem Herodotowych atlantów, którzy najwyższe bóstwo czcili w księżycu. Po sześciomiesięcznej grenlandzkiej zimie, kiedy wreszcie wiosna odsłoniła gorącą, promienną źrenicę świata, czuję chęć pomodlić się, jak chłop pomorski: „Kochane słońce, zstąp i weź ze mnie 77 feber“ lub przemówić codziennie jak bramin: „Wschodzi cudowne oko słońca, wody i ognia, które łączy w sobie moc bogów, napełnia swą świetlistą siecią niebo, ziemię i firmament; stanowi ono duszę wszystkiego, co jest stałem lub ruchomem. To dobroczynne oko wznosi się ciągle od wschodu; obyśmy je widzieli sto lat, obyśmy żyli sto lat, obyśmy słyszeli sto lat!“ Pewien dziki odpowiedział misyonarzowi, który mu wykładał rozmaite mądre prawdy: „Pokaż mi jednak cośkolwiek, co byłoby godniejszem czci, niż słońce.“ Gdybyśmy byli dotąd barbarzyńcami i zjawił się śród nas apostoł, może odrzeklibyśmy mu podobnie. Ileż to bowiem już lat nie widzieliśmy wiosny, a odkąd nie mieliśmy dwu tygodni ciepła! Przez cały rok ubiegły chłody i deszcze tak nas dręczyły, jak gdyby w niebie rządził Bismark.

Dyabeł wymyślił miasto a dziesięciu dyabłów — Warszawę, miasto gołe, szare, duszne, odarte z wszystkiego, w czem drgają tętna żywej natury. Szanowny szlachcicu, który tęsknisz do panny Russel lub Wisnowskiej i czujesz się strapionym, jeśli ich nie możesz widzieć, szanowna szlachcianko, która toniesz w rozpaczliwej tęsknocie za Warszawą i zazdrościsz nam Raulka Kuczalskiego*), wyścigów i Doliny szwajcarskiej; gdybyście widzieli, z jaką gotowością oddałbym wam te wszystkie rozkosze za możność oglądania budzącej się i strojącej natury, za ciszę, za koncerty słowików, za wonie, za barwy, za te czary i uroki, których nie zastąpią ani hałasy ulicy, ani szare ściany domów, ani Raulki, Wisnowskie i milion różnobarwnych tiurniur! Czy człowiek nie musi zeschnąć, zwyrodnieć, okaleczeć, wreszcie zgłupieć, a przynajmniej zmateryalizować się, gdy przez dziesiątki lat traci zmiany i procesy, zachodzące w przyrodzie, odczuwając jedynie różnice temperatury! Gdyby pewnego dnia zginęły w Warszawie wszystkie termometry, nie odgadlibyśmy, czy żyjemy w porze wiosny, czy jesieni. Za jedną z większych kar, na które los skazuje ludzi nieumiejących z wywieszonym językiem tropić śladów i doganiać uciekającego „interesu,“ uważam dożywotnie osiedlenie w wielkiem mieście; i jestem najmocniej przekonany, że ród człowieczy temu osiedleniu zawdzięcza znaczną część swojego zepsucia. Wieśniacy wogóle są poważniejsi, uczciwsi, szlachetniejsi; brną przez kałuże, ale nie przejeżdżają oceanów błota, omijają dołki, ale nie potrzebują przeskakiwać otchłani podłości. Rousseau usypał górę głupstw w swej teoryi szczęścia człowieka pierwotnego, ale górę tę postawił na słusznym gruncie odrazy do miasta. Kto nie urodził się dla żadnej „stolicy,“ żył w niej i uciekł, ten nie mógł nic innego napisać.

Tym moim zachwytom zapewne urągą wielu nigdy przez naturę nieprzejednanych ziemian, którym ona rzadko kiedy dogadza. Ksiądz zadowolony z ofiarności swych parafian, dorożkarz — z nadpłaty a gospodarz — z atmosfery jest u nas nadzwyczajną rzadkością. Czy rok był pogodny, zimny, ciepły, suchy, czy też mokry, zawsze rolnik skarży się i w korespondencyach do swego organu pisze przed zimą: „Skutkiem niepomyślnych warunków klimatycznych, urodzaje ucierpiały wiele.“ Ale przyznać trzeba, że takimi byli oni wszędzie i zawsze. Karenowie birmańscy, otworzywszy modłami naoścież swe serce przed boginią ziemi, ukazują jej takie życzenia: „Spraw, ażeby zboża wystrzeliły nagle, jak potok, który wytryska w ciągu jednej nocy; spraw, ażeby rola poddawała się pługowi, niby wosk topniejący pod gorącem żelazem, ażeby zbite jej bryły topniały jak ziarna gradu. Niech nasze pługi przelatują bruzdami z siłą odskoku drzewa naciągniętego; niech nasze zasiewy dają taki plon, ażeby tyle od nich na polach odpadło i ukryło się, tyle przy przewożeniu do domów na drogach pozostało, że gdy w roku przyszłym wyjdziemy do nowego siewu, pola i drogi wyglądać będą jak młoda niwa... Niech nasze trzody tak się rozmnożą, że nie pomieścimy ich w oborach; niech nasze głowy ciągle uderzają o naczynia gliniane, które w niezliczonej ilości wisieć będą u pułapu; niech nasze szczury ścielą sobie gniazda w odpadkach tkanin szkarłatnych i jedwabnych; niech ptaki, żyjące padliną, ustawicznie przesiadują na drzewach naszej wsi, zwabione widokiem codziennie zabijanego bydła.“ Wtedy dopiero miałby dosyć i byłby zadowolony zarówno karen, jak i szlachcic polski. Czy każdemu z naszych nawet tyle dostatku wystarczyłoby, czy i wówczas nie sprzedałby on swego folwarku... komisyi kolonizacyjnej — nie odważę się upewniać. Wątpliwość nasuwają tu nietylko potwarcy „zacnych dążeń i obywatelkich poświęceń“ stanu ziemskiego, ale sami jego gadatliwsi i szczersi adwokaci. Posłuchajmy bowiem świadka niepodejrzanego o wrogą stronność. Niejaki K. N. z Poznania w *Gazecie rolniczej* zna „dwie klasy naszych ziemian, na których kolonizacya liczyć może: jedni nie chcą, ale muszą— takim *trudno nawet mieć za złe*, że się napraszają kolonizacyi.“ O wspaniała etyko szlachecka, jakże bezmiernem jest miłosierdzie twojej — kieszeni! Jeżeli Kraków przejdzie kiedy w posiadanie szlachcica galicyjskiego a ten dla uratowania się będzie „musiał“ sprzedać trumny z grobowców na Wawelu — „trudno będzie mu wziąć za złe.“ Ale obejrzmy drugą kategoryę. Należą do niej tacy, którzy „także sprzedać musieli i także niby nie chcieli, gdyby jednakże *dobrze chcieli*, to by *nie musieli*.“ Jest wreszcie i trzeci gatunek: dla tych „wszystko jedno kto kupuje, byle tylko płacił dobrze; a czego by się nie sprzedało za dobre pieniądze!“—dodaje korespondent ze złośliwym uśmiechem. A skąd słabość skrupułów moralnych lub zupełny ich brak? Pan K. N. odpowiada na to pytanie bardzo ostrożnie, ale ze względu na swe stanowisko dość znacząco. „Z tradycyi wielkopańskiej— powiada on — pozostało wiele. Więc chociaż oszczędzamy się, *jak możemy*... żyjemy jednak cokolwiek dostatniej, niż nasi sąsiedzi niemcy, którzy dla utrzymania równowagi dochodu z rozchodem (no, i kupienia nas!) zawsze umieją redukować ten ostatni, podczas gdy my uszczupliwszy go pod naciskiem konieczności powiadamy: dalej już nie idzie. Dlatego też jednej rzeczy ciągle nam przybywa... długów.“ Czy może zdarzyć się tak przyjazna wiosna, któraby pokonała wszystkie te nawyki i „szerokie natury“ naszej „przodującej klasy?“ Gdyby nawet drzewa folwarków roiły się stadami ptaków drapieżnych, łakomych świadków zarzynanego bydła a szczury słały sobie gniazda z atłasów, jeszcze i przy tym dostatku znaleźliby się tacy, którzyby *musieli* sprzedawać niemcom ziemię rozgrzeszeni z tej winy przez moralność publiczną. Przez beczki Danaid morze przepłynie i pragnienia ich nie zaspokoi. Ludzie, którzy z kilkunastu włók ziemi, uprawianych przedwiecznym sposobem, chcą dla swych żon sprawiać kilkusetrublowe suknie, przemieszkiwać podczas karnawału w wielkiem mieście, jeździć karetami, śniadać u Stępkowskiego a często jeszcze utrzymywać „te małe“ i sprawiać im kosztowne niespodzianki, nie mogą mieć nigdy za wiele i dosyć. A jeżeli bieda napędzi do umiarkowania, to wiecie co naprzód pada ofiarą oszczędności? „Ponieważ w tym roku — pisze właściciel 40-włókowego majątku — grad wybił mi pszenicę, a ciągłe deszcze poczyniły znaczne szkody... postanowiłem zaprowadzić oszczędności w moim budżecie domowym. Między innemi nabywanie wiedzy rolniczej, kosztujące mnie dotąd 9 rs. rocznie, uznałem za *zbyt kosztowne*, przeznaczyłem tylko 8 rubli.“ To nie wymysł satyryka, to wyznanie p. St. Sulimierskiego w nr. 18 *Gazety rolniczej*.

*) Właściwie ojciec jego pisze się na biletach wizytowych: *de Kotschalsky*.

Jeden z ministrów węgierskich błyska światu myślą, która dziś wygląda na mrzonkę, ale może kiedyś wcieli się w rzeczywistość, a ludzie pytać będą zdumieni, czemu nie wystąpiła wcześniej. Komuż przed dwustu laty wydałoby się możliwem, ażeby za przesłanie listu lub pakietu z Warszawy do Irkucka albo do S. Francisko pobierać taką opłatę pocztową, jak za przesłanie z Warszawy do Grodziska albo N. Mińska? A jednakże dziś, od czasu jak Europie wytłomaczył korzyści tego urządzenia „ojciec taniego porta,“ uważamy je za zupełnie naturalne. Otóż minister węgierski myśli o czemś podobnem dla ludzi, jadących kolejami żelaznemi. Czy myśl ta jest blizką do urzeczywistnienia w całym świecie ucywilizowanym — nie badam, ale za to ręczyć mogę, że niektóre z naszych kolei są od niej dalsze, niż ludzie wieku kamienia szlifowanego od wynalazku stali. Tak np. droga Nadwiślańska jeszcze nie weszła w okres biletów spacerowych, Terespolska — w okres zatrzymywania pociągów pocztowych na wszystkich stacyach itd. Czy my możemy myśleć o jednakiej opłacie za przejazd najkrotszych i najdłuższych przestrzeni, jeżeli dotąd nie możemy uzyskać tego, ażebyśmy kupując bilet do Rembertowa lub Dębego, nie płacili za 8 kilometrów dalej — do Miłosny lub N. Mińska? Od wielu lat wszystkie koleje europejskie sprzedają bilety z wolnym powrotem; u nas tylko Petersburska ma je podczas lata, a inne uważają taką „ofiarę“ za coś tak niemożliwego, jak botokudzi—balony i marki pocztowe. Klasyczną pod względem pierwotności jest Terespolska. Dość zaznaczyć jeden jej rys — nieprawdopodobny, ale prawdziwy. Już nietylko za granicą, ale i u nasz wszystkie pociągi (na W. Wiedeńskiej i Bydgoskiej nawet kuryerskie) przez miesiące letnie zatrzymują się na każdej stacyi i przystanku w pewnym promieniu od Warszawy. Jest to słuszne i konieczne, gdyż koło tych stacyj i przystanków powstają liczne, nieraz bardzo ludne kolonie letnie, którym wiele zależy na częstej komunikacyi. Tymczasem droga Terespolska nietylko jednemu pociągowi każe omijać przystanki, ale właśnie tym pociągiem przesyła pocztę, mając w lecie trzy inne. Jest to wyższy humor. Proszę sobie wyobrazić jego realne odbicie. Piszesz list do swojej rodziny w Rembertowie lub Dębem. Kolej go zabiera tym pociągiem, który w Rembertowie i Dębem nie staje, i wiezie do stacyi następnej, skąd go dopiero trzeba sprowadzić końmi. Ile już napisano artykułów, próśb do zarządu — daremnie. Tam, gdzie Olimp kolejowy myśli tylko o własnych wygodach, posadach i gratyfikacyach, nie zna pobudek, natchnionych dobrem ogólnem, a nawet dobrem instytucyi. Te drogi żelazne, które zaprowadziły wszelkie udogodnienia, nie zrobiły tego dla przypodobania się komuś, ale dla własnego interesu, dla pomnożenia ruchu. Taniość przejazdu ściąga chętnych, wywołuje przy linii rozmaite osady, które dostarczają pasażerów, ludność i kolej zyskują zarówno — a to zjawisko powtarza się wszędzie i wyszło już z krainy wątpliwych przypuszczeń. Ale nie na drodze Terespolskiej, która ciągle jeszcze waha się nad zastosowaniem tego, co już wszędzie wypróbowano, pomimo że przy jej torze od lat kilku powstały takie kolonie letnich mieszkań, jak Rembertów, Miłosna, Ostrów (Dębe), N. Mińsk i Mrozy, liczące nieraz po kilkaset osób. Powiadam: waha się, nie jestem jednak pewny, czy tam wogóle kto o tej sprawie myśli. Aby dostać jaknajwiększą pensyę, awans, gratyfikacyę — to rdzeń filozofii, a który tam pociąg zabiera pocztę, to głupstwo. Może ona sobie jeździć nawet błyskawicznym i listy adresowane do Dębego zostawiać w Odesie. To panom z kolei nie dokucza, bo jeśli oni coś posyłają od siebie, mają lorkę, maszynistę, konduktora, a wreszcie zatrzymają pociąg. Takie sprawy traktuje się rodzinnie, po przyjacielsku, po gospodarsku.

Nakoniec *curiosum*. W nr. 48 gazety petersburskiej *Swiet* pomieszczono list następujący:

„Szanowny Panie Redaktorze! Polska prasa w osobie redaktora *Prawdy* p. Świętochowskiego uczyniła mi zarzut, że piszę po rusku a nie po polsku. Słyszałem też, że jedna z polskich gazet odrzuciła tłomaczenie którejś z mych powieści, z tego powodu, żem jakoby sprzeniewierzył się memu rodzinnemu, to jest polskiemu narzeczu. To też znajduję niezbędnem uwiadomić p. Świętochowskiego, żem ruski, urodziłem się prawosławnym i w prawosławnej rodzinie i że jeśli w liczbie mych przodków Jasińskich są słynni polscy mężowie, za to z tegoż rodu wyszedł znakomity żarliwiec prawosławia, kijowski metropolita *Warłaam Jasiński*. Po polsku nigdy nie pisałem, z tej przyczyny, że nie umiem i nawet — niestety — nie czytam po polsku, co przeszkadza mi napawać się w oryginale wielkimi tworami polskiej literatury, a w szczególności przeszkodziło zapoznać się z muzą p. Świętochowskiego, o którym mam bardzo niewyraźne pojęcie (jak i on o mnie).

Proszę przyjąć... itd.“

J. Jasinski (*Maksym Bieliński*).

Tego Filipowego wyskoku niepodobna sobie inaczej objaśnić, tylko przypuszczeniem, że p. Jasińskiemu v. Bielińskiemu zbrakło lepszego sposobu zwrócenia na siebie uwagi. Prasa polska bowiem „w osobie redaktora *Prawdy* p. Świętochowskiego“ nie uczyniła p. B. v. J. żadnego „zarzutu“ dla tej prostej przyczyny, że ów Świętochowski nigdy o nim nie pisał, nic o nim nie wie po za *dwuwierszową* wzmianką naszego petersburskiego korespondenta w numerze 28 *Prawdy* z r. 1888! Nader wątpliwą również wydaje nam się gołosłowna wiadomość o odrzuceniu przez jakąś redakcyę przekładu jakiejś powieści pana J. v. B.; prasa warszawska bowiem drukuje wiele tłomaczeń prac autorów, którzy będąc polakami, piszą po rusku. Cały więc ów list wygląda na krąg korkowy, za pomocą którego autor usiłuje pływać po wierzchu.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Jeszcze wyjaśnienie w sprawie kanalizacyi.

II.

I te to dwa przymusy — do pełnego kanalizowania starych domów, i do natychmiastowego przeprowadzania urządzeń kanalizacyjnych — wywołały spór.

Dziś zapanowało przekonanie, że przymusy powyższe, chwilowo zażegnane, zjawić się mogą niebawem, i bezwzględnością swą sprawić strat wiele. Postanowiono szukać zabezpieczenia w samem prawie, w przepisach. Mniemaną swobodę zastąpiono zaprojektowaniem przymusu, ale dającego termin dość długi, tj. cztery lata do wykonania robót. Nadzwyczaj trudne zaś kanalizowanie starych posesyj, chcą uprzystępnić i umożebnić, przyjęciem kanalizacyi minimalnej, któraby jednakże główne zadanie, tj. odprowadzenie wód deszczowych, brudnej wody, pomyj i zlewów, w zupełności wykonała. Nie jest to żaden sobkowski wymysł tutejszy, ale zastosowanie się tylko do podobnych urządzeń w Monachium, Dreznie, Augsburgu, Edynburgu i w innych miastach, gdzie zaprowadzenie waterklozetów ogólnych i pokojowych, jako połączonych z największemi trudnościami gospodarczemi, pozostawiono uznaniu właścicieli domów. A jak tam konkurencya zmusza powoli gospodarzów do zaprowadzenia zupełnych urządzeń kanalizacyjnych, tak i u nas sprawi to samo, uniknąwszy bezpotrzebnych wstrząśnień ekonomicznych i wyganiania biednych właścicieli domów ze starych dzielnic, z ich mocno obdłużonych nieruchomości.

Minimalna kanalizacya projektowana przez Towarzystwo Kredytowe Miejskie jest zupełną, i prawie w niczem nie odbiega od przepisów. Nieporozumienie tkwi tylko w tem — czy do kanałów obowiązkowo oprócz wód pomienionych, spuszczać i odchody?

Poprzednio nadmieniłem, że odnośne zapatrywania i urządzenia, za granicą są rozmaite i niema wcale tej jednomyślności, jaka panuje już co do spuszczania wód deszczowych, a szczególniej też gospodarczych. Osobiście, wpuszczanie ekskrementów do kanałów, uważam za najbardziej dogodne dla miasta. Za tym systemem przemawia i czystość i zdrowotność i względna nawet taniość. Ale nie mogę się zgodzić, żeby to spuszczanie było dla wszystkich domów obowiązującem. Trudność bowiem tkwi nie w samem urządzeniu klozetu podwórzowego, ogólnego, ale w urządzeniu pokojowych. W domach starych, w całej dzielnicy Starego i Nowego Miasta, dzielnicy biednej, urządzenie takie łącznie ze zlewami nietylko że jest kosztownem, ale wprost — ze względów na konstrukcyę domów, na rozkład mieszkań i na drobność lokalów, jeżeli nie niemożebnem, to przynajmniej nadzwyczaj — trudnem. Trzeba znać te domy, żeby o tem coś stanowczego wyrzec można. Dla tych wszystkich domów, nie może być mowy o urządzeniu klozetów pokojowych.

Są znowu inne stare, tak samo z fatalnymi rozkładami mieszkań, ale już z trochę większymi lokalami. Tu po kątach istnieją tak zwane u nas wygódki, z kubłami przenośnymi, dezinfektowanymi proszkiem torfowym. Dzikie to wprawdzie urządzenia, ale względnie wygodne i względnie hygieniczne, gdyż proszek torfowy tamuje skutecznie rozwój fermentów gnilnych. Otóż w tych domach starych, takie wygódki musiałyby pozostać.

System mieszania ekskrementów z torfem, czyli ulepszony system Moulé, jest w istocie specyalną właściwością Warszawy. 32% nieruchomości oczyszcza tym sposobem swe ustępy, i system ten dobrze wykonywany, jest bezwarunkowo lepszym od wszelkich dołów latrynowych, beczek, naczyń z filtrami itd. Teoretycznie nie jest on jednak lepszym od kanalizacyi. Ale ponieważ w Warszawie znacznie się rozpowszechnił, przy wszelkich przeto przejściach z dawnego systemu na inny, trzeba koniecznie uwzględniać dawne urządzenia, gdyż one stawszy się zwyczajowemi, bardzo długo mogą psuć kosztowne nowe, i uniemożebniać ich funkcyonowanie. Do pewnego więc czasu, sposobem przejściowym, dozwolenie na utrzymanie kloak ogólnych na torfie, okazuje się jednem, praktycznem rozwiązaniem kwestyi. W Berlinie zrobiono tak samo.

Widzimy zatem, że całe odstępstwo od pełnej kanalizacyi, tyczy się tylko wyjątków, które w miastach najlepiej urządzonych pod względem hygienicznym, zawsze uwzględnianymi były *).

Co więcej, aby te wyjątki nie były znowu zbyt liczne i zbyt dowolne, proponowanem jest utworzenie komisyi, złożonej z hygienistów, budowniczych i właścicieli domów, któraby, między innemi, opiniowała, czy uwolnienie od kanalizowania dołów kloacznych nie pociągnie za sobą dla mieszkańców szkód, pod względem sanitarnym.

Tak się przedstawia cała sprawa w istocie, i nie zdaje mi się, żeby opisane wyżej załatwienie jej, było w czemkolwiek tandetnem..

A. M.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W ministeryum spraw wewnętrznych utworzona będzie komisya do obmyślenia środków, dążących ku możliwemu zmniejszeniu pożarów po wsiach

*) Mam pod ręką projekt asenizacyi Paryża z r. 1885. W art. 21 powiedziano: „Les dispositions du titre I-a, relatives au nombre des cabinets d'alsances seront immediatement applicables, en ce qui concerne les maisons à construire. Elles *pourront* devenir exigibles *dans les maisons dejà construites*, si la salubrité le reclame“ itd. A zatem tylko w pewnych warunkach wymagalne.

i miasteczkach. Będzie tam poruszoną sprawa ułatwienia ubezpieczeń dla nieruchomości wiejskich i miasteczkowych. Jak utrzymują *Mosk. Wied.*, w komisyi tej ma być złożony referat o budowlach najbardziej zabezpieczających od ognia. Jako tanie i dostępne w wielu miejscowościach zasługują na szczególną uwagę budowle z torfu. Materyał ten można przerobić na zupełnie niepalny. Budowle z torfu zaczynają się już rozpowszechniać na Syberyi. Mieszkania takie są nierównie lepsze od mieszkań z cegły surowej, gdyż torf jest bardzo mocny i tani, zachowuje ciepło i pochłania gazy, a więc nadto jest hygienicznym.

Jarmarki. Ministeryum skarbu opracowało projekt nowych przepisów o jarmarkach. Opłata od handlujących na jarmarkach ma być pobieraną nie w stosunku do czasu trwania jarmarku, lecz w stosunku do ich obrotów. W tym celu ministeryum zbiera dane o wysokości pieniężnej obrotów handlowych wszystkich jarmarków.

Adwokaci handlowi. *Petersb. Wied.* donoszą, iż istnieje projekt podwyższenia *census* wykształcenia adwokatów przy sądach handlowych. Postanowiono aż do czasu przekształcenia nowych sądów, ażeby do składu adwokatów dopuszczano tylko osoby, które ukończyły kurs średnich zakładów naukowych, oraz złożyły przepisany prawem egzamin.

Slöjd. Nauka robót ręcznych, czyli t. zw. slöjd, zaprowadzona została w dwóch oddziałach klasy 1-ej w szkole miejskiej w Warszawie imienia Konarskiego, w której kurs nauk trwa lat sześć. Uczniowie klasy 2 i 3 uczęszczają na rzemiosła do warsztatów, z wyjątkiem słabych fizycznie i uczą się stolarstwa oraz ślusarstwa. Przy warsztatach ślusarskich urządzono kuźnię przenośną dla potrzeb szkoły. Na ślusarstwo uczęszcza uczniów 40, na stolarstwo 14.

Statystyka kolejowa. W ciągu r. 1888 na kolejach angielskich z powodu różnych wypadków postradało życie 905 osób, a 3,862 zostało ranionych.

Stacye. *Nowosti* donoszą, że ministeryum skarbu projektuje utworzenie specyalnych stacyj dla oceny sukna. Zamierzono je otworzyć w Warszawie, Łodzi, Moskwie, tudzież w innych ogniskach przemysłu. Stacye kontrolować będą miejscową produkcyę i stemplować każdą sztukę sukna. Środek ten stał się koniecznym wobec wykrytego nadużycia, iż sukna wyrabiane były nieraz z wyczesków wełny, zamiast z długich włókien wełnianych. Dowóz surogatów wełny z zagranicy ministeryum myśli ograniczyć do minimum przez znaczne podwyższenie opłaty celnej.

Wystawy. W kraju północno-zachodnim w ciągu roku bieżącego urządzone będą wystawy przemysłowo-rolnicze w następujących miastach i miasteczkach: w Wilnie 21 maja, w Grodnie 16 czerwca, w Kobryniu (gub. grodzieńska 28 maja, w miasteczku Żelwie (gub. grodz.) 26 sierpnia, w Kownie 27 września, Rakiszkach (gub. kowieńska) 26 czerwca, w miasteczku Mir (gub. mińska) 5 czerwca, w Krzesławiu (gub. witebska).

Taryfy kolejowe wkrótce będą uporządkowane. W marcu utworzono w tym celu nowy departament przy ministeryum skarbu. Koleje żelazne, pozostające w eksploatacyi akcyjnych towarzystw prywatnych, nie będą miały prawa wprowadzać jakichkolwiek zmian w taryfach, ani pod względem opłat, ani warunków przewozu, bez przedstawienia i zatwierdzenia departament. Departament podzielony jest na dwa wydziały: w pierwszym skupiać się będą sprawy, wynikające ze stosunków finansowych między rządem a towarzystwami prywatnemi, eksploatującemi koleje żelazne, już to pod względem długów zaciągniętych przez koleje u rządu, lub powstałych z niedotrzymania przyjętych zobowiązań. Wydział drugi obejmować będzie wszelkie sprawy, dotyczące taryf przewozowych.

Zatargi. Do *Ruskiego Kuryera* donoszą z Dorpatu, iż tam na studentów weterynaryi napadli studenci uniwersytetu, którzy już dawno patrzyli na weterynarzy krzywo za to, iż ci przyjęli ustanowiony przez rząd uniform. Niechęć swą wyrażali różnymi nieprzyzwoitymi postępkami, zaś 28 kwietnia uczynili napad. Około 12-ej w południe kilku studentów weterynaryi wiozło różne przedmioty do udekorowania sali na wieczór studencki. Naraz na ul. Rewelskiej wypada 15 studentów uniwersytetu, liwońskiej korporacyi, rzucają się na weterynarzy, odbierają im rzeczy, a pomiędzy niemi herb gubernii, łamią je w kawałki i znikają. O napadzie tym dano znać rektorowi uniwersytetu; ponieważ zaś władza uniwersytecka nie zarządziła żadnych środków dla uśmierzenia napastników, przeto rada instytutu weterynaryjnego sprawę oddała w ręce prokuratora. (*Wiek*).

Na pomnik rewolucyi z r. 1789 rząd francuski uchwalił 2 miliony franków. Izba już plan ten przyjęła. Na same nagrody konkursowe wyznaczono 150,000 franków.

Egzaminy. Z rozporządzenia ministeryum oświaty egzaminy wstępne we wszystkich progimnazyach, gimnazyach i szkołach realnych dla kandydatów do klasy 1-ej, tudzież dla uczniów klas wstępnych, odbywać się będą corocznie w maju.

Olbrzymi pożar. W New-Yorku spłonęła do szczętu fabryka Wilcoxa, dwa olbrzymie magazyny i dwa elewatory. Szkoda wynosi około 3 milionów dolarów. W płomieniach zginęły dwie osoby.

Konwencya. Fabrykanci koronek i tiulów w Warszawie, przeważnie francuzi, podpisali w tych dniach konwencyę, mającą na celu zapobiedz dalszemu zniżaniu cen, które od roku spadły o kilkadziesiąt procent.

Cukier. Z Londynu donoszą, że rząd angielski chce przedstawić parlamentowi projekt konwencyi międzynarodowej, w celu zniesienia premij wywozowych na cukier. Według jednak raportu konsula austryackiego, nowe sfery rządowe nie wierzą w zniesienie premij, dlatego, iż publiczność angielska jest stanowczo przeciwną wszelkim usiłowaniom, które mogłyby spowodować podrożenie cukru. Według dzienników urzędowych niemieckich, myśl konwencyi międzynarodowej dla zniesienia premij postępuje bardzo szybkim krokiem w Niemczech; kanclerz państwa wypracował projekt prawa, mającego na celu zniesienie wzmiankowanych premij.

W Sosnowicach (pow. będzińskim) założono pierwszą w kraju fabrykę żywicy dystylowanej, używanej w browarach.

Wojłok roślinny z Otwocka pozyskuje rynek zbytu za oceanem. Z Rio-Janejro wysłano agenta celem sprowadzenia tego wyrobu do Brazylii.

Liczba browarów w Królestwie Polskiem wynosi 307, które opłaciły w roku zeszłym akcyzy 1,150,330 rubli. W całem państwie wszystkich browarów jest 1365.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Апрѣля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.